AS



Nr. 11.

15-go MARCA 1936 R

CENA 40 GROSZY

AMAZONKA

z czasów biedermajer

Urocza artystka Hortense Raby

Fot. Willinger, Wiedeń.

NASZ NOWY KONKURS
na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki

Oto garść fotografij z różnych stron Polski. Znajdujemy tu jeszcze zdjęcia zimowe, większość jednak wykazuje wyraźnie cechy wiosenne. Jak widzimy, sport jeździecki cieszy się w Polsce, zwłaszcza wśród pięknych pań wielkiem powodzeniem, a głównie na tak zwanej prowincji. Zresztą nic w tem dziwnego, wiemy przecież, że Polacy słynęli narówni z Węgrami w jeździe konnej i jako tacy zdobyli pierwszeństwo wśród narodów Europy. — O ile w samym początku naszego konkursu mieliśmy pewne zastrzeżenia co do nadsyłanych zdjęć, gdyż niezawsze odpowiadały one założeniu konkursu, to jednak obecnie Czytelnicy „Asa" w większości wypadków poszli po linji wskazanej przez nas. Wkrótce będą oni mieli jeszcze więcej możliwości niż dotychczas „uchwycenia na gorącym uczynku" pięknych fragmentów uprawiania sportów, gdyż wiosna, a z nią powracające ciepło, umożliwią rozliczne imprezy sportowe, jak tenis, jazdę konną i t. d.

Kupon na str. 30.



P. Halina Monwid-Olechnowiczowa z Wilna na klaczy „Obyta".



Znana śpiewaczka p. Ola Obarska, w swoim samochodzie.



Utalentowana śpiewaczka wileńskiej „Lutni", Sława Bestani, poluje w Hołubnickiej Puszczy.



P. Irena Dziakiewiczówna ze Lwowa na ulubionym wierzchowcu.



Na lewo: Dwukrotna mistrzowska para łyżwiarska Pomorza „Truda-Kowalski jun." Toruń.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
P... KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY ... 275 mm. — Szerokość kolumny 200 ... szerokość łamu 63 mm. Cała strona ... Za ogłoszenie kolorowe ... czego. Żadnych ... przyjmujemy

JUŻ w następnym numerze »Asa« rozpoczynamy druk powieści genjalnego autora H. G. Wellsa, p. t.: „Opowieść z epoki kamiennej"

Numer 11 **Niedziela 15 marca 1936** **Rok II**



Jan Kiepura po dłuższym pobycie w Hollywood, gdzie grał w filmie p. t. „Daj nam tę noc", powrócił niedawno do Europy, jak jednak oświadczył, już w maju b. r. zamierza słynny artysta wrócić do stolicy „Srebrnej magji". Nie można mu się dziwić: pobyt jego w U. S. A. był szeregiem triumfów. Oto jeden z licznych miłych epizodów pobytu jego w Stanach Zjednoczonych: słynna artystka filmowa, Mary Pickford, zaprosiła naszego rodaka na wspaniałe przyjęcie do swej siedziby Pickfair wraz z licznemi reprezentantami świata artystycznego i towarzyskiego nowego i starego lądu. Od lewej ku prawej widzimy na naszem zdjęciu: Delmara Daves, Jana Kiepurę, uroczą blondynkę Martę Eggerth i niemniej piękną brunetkę Kay Francis, Leslie Howarda i Gene Raymonda.

ASY NUMERU 11-go:

WIELKIE BULWARY ŚWIATA



Niemieccy turyści wszystko chcą zobaczyć i sfotografować.



Olbrzym transoceaniczny wiezie nas w dalekie kraje...

Czy znacie to uczucie? Któregoś dnia rozbłękitnia się niebo — wiatr niesie zapach świeżej ziemi — wzrok wybiega daleko i tęsknie ku horyzontom. Niejeden przystanie na ulicy i zapatrzywszy się przed siebie — słucha... Wiecie co to jest? To odwieczny zew wiosny, której nakazem jest włóczęga. To instynkt odziedziczony po naszych praprzodkach koczownikach, którzy w takie wiosny ruszali w daleki, nieznany świat pod wpływem tego samego tajemniczego nakazu, któremu posłuszne ptaki symetrycznemi kluczami ciągną z odległych krain.

Na wiosnę młodzi chłopcy zaczynają przemyśliwać o kajakach, o niebezpiecznych wyprawach, o włóczędze naokoło świata — tak bez celu — prosto przed siebie. Popytajcie się w wypożyczalniach książek. Od marca młodzi czytelnicy dopytują się natarczywie o książki podróżnicze o powieści egzotyczne, w których talent pisarski zaczarował echa dalekiego szlaku „wielkiej przygody".

Biura podróży, te sklepy, w których sprzedaje się nieznane przestrzenie na kilometry, jak kolorową taśmę — zaludniają się klientami. W oknach wystawowych grają symfonją jaskrawych barw afisze i plakaty, reklamujące bliskie i dalekie kraje. Na tle granatowego nieba odcina się stylizowany biały i płaski minaret, wśród strzelistych cyprysów wytryskają, jak fontanny, włoskie kampanile, odwieczna wieża Eiffla wznosi się majestatycznie ponad dachami Paryża, z seledynu wynurza się, jak bukiet, Madera, granatowe cienie kładą się w wąskich zatokach norweskich fjordów. — Oto katalog cywilizowanego świata! Na wszystko są ustalone ceny. Inaczej płaci się za zadumę nad mrocznym fiordem północy, a inaczej za aksamitne powietrze wiosny marokańskiej.



Przed olbrzymim hotelem niezliczone auta czekają na gości.



Rzymska Via dell'Impero jest chlubą stolicy Włoch, łącząc odwieczne zabytki z nowoczesnym postępem.



Na prawo: Dancing w promieniach górskiego słońca.

Na asfaltowanych autostradach białego świata niema miejsca dla pierwotnego nomady. W bazarach z wrażeniami podróży skomercjalizowano romantyzm dali... Szlak podzielono na strefy, którym w małej książeczce biletowej odpowiadają zielone, czerwone żółte i inne karteczki. Wszystkim szerokościom geograficznym narzucił człowiek ten sam cywilizowany kupiecki uśmiech.

Paryż, Londyn, Wiedeń, Buenos-Aires, Nowy Jork, Nicea, Palmbeach, Berlin, Szanghaj, Moskwa — po lśniących szynach wśród przemykającego filmu krajobrazu mkną luksusowe, błyskawiczne pociągi, przelatują niedościgłe auta, 120, 140, 160 kilometrów na godzinę. Bugatti, Rolls Royce, Cadillac i Hispano-Suizy.

Prują fale morza gigantyczne okręty, coraz większe, coraz wspanialsze — Bremen jest już zamała, na Normandie są dwa teatry, na Queen Mary będzie prawdziwa ulica, apartamenty prywatne przypominają wnętrza luksusowych will.

W błękicie rozsłonecznionym nieba lub w ciemnym granacie, przeszytym strzałami reflektorów warczą motory samolotów coraz większych i wspanialszych, coraz podobniejszych do latających hoteli.

„Ritz'e", „Palace'y", „Grand'y", „Savoy'e" i „Escelsiory" kolosy, gdzie pragnienie jest spełnione nim zostanie wypowiedziane — zawsze te same falangi służby, ci sami portjerzy — międzynarodowe automaty.

W Wiedniu tańczy się walca, w Paryżu kupuje tualety i kocha kobiety, w Salzburgu ogląda się festivale, a w Szanghaju pali się opium. W Cannes zakotwicza się jachty, a w Madrycie ogląda się walki byków.

Worth, Mortimer, Dunhill — dobry pan Cook uprzystępnił te cuda, obwozi w swych pociągach i autobusach, umożliwiając za skromną opłatą konsumowanie tych przygotowanych na sprzedaż wrażeń szerokiej masie turystów. Pan Kodak co roku wypuszcza tańszy model „uwielokrotniacza" wspomnień, mądry pan Baedecker zastępuje własną spostrzegawczość i wysiłek odkrywczy. Układni dyrektorzy „Ritz'ów" i „Palace'ów" zestandaryzowali wielki świat i jego bulwary.

Nawet te same pornograficzne pocztówki oferują w Paryżu i Aleksandrji, w Neapolu i Tokio. Czarne fraki kelnerów i czarne twarze murzynów z jazz-bandu. Greta Garbo pod każdą szerokością geograficzną i w każdym punkcie świata, ten sam ostatni przebój muzyczny.

Nie musisz się obawiać niespodzianek: bulwary świata są dokładnie zbadane.

Po wielkich bulwarach snują się utuczone złotem pulardy, nad któremi krążą szukające łupu sępy — niebieskie ptaki. Dyplomaci kolekcjonują zbierane wśród drogi ordery, władcy państw zmieniają mundury i wygłaszają mowy, na wszystkich wielkich stacjach kompanje honorowe prezentują broń, powitania, pożegnaina, uroczystości.

Prawdziwy włóczęga, odkrywca i poszukiwacz wrażeń szuka wąskich uliczek świata, nowych gościńców i ścieżek, słonecznej błogości, ciszy wśród leśnej polany, wdzięku architektury nieznanych miasteczek, piękna gwiaździstej nocy morskiej na rybackim kutrze i emocji marszu i walk wśród puszcz i niezdeptanych ostępów — nastroju przydrożnych kapliczek i egzotyki wędrówek tajemniczych karawan wschodnich kupców.

Są ludzie, których namiętności włóczęgi nie oszuka kolorowy szych plakatów w wystawowych oknach Cooka. Każdej wiosny z europejskich portów świata wyruszają w mgliste świty małe jachty. Któregoś wiosennego ranka odbił od mola portu marsylskiego mały okręt śmiałego rycerza morskiej przygody Alain Gerbault'a. Wielki trampsamotnik stał długo oparty o maszt, śledząc zarys ziemi, która rozpływała się w porannych mgłach. Morze jest tajemnicą — czyż wiedział, że zuchwały rejs atlantycki nie będzie w jego życiu ostatnim?

Chwila startu jest zawsze równie radosna. Zgrzytnie łańcuch kotwiczny — na maszt wybiega dwubarwny sygnał pożegnania. Wielkie powierzchnie żagli zaczerpnęły głęboko pierwszy oddech dali... Ze wszystkich portów świata rusza wiele okrętów w swój ostatni rejs. Poranne mgły i dla nich tańczą senny korowód na wąskim brzegu horyzontu. Na masztach trzepocą flagi. Płyną okręty. Wychodzą na morze niepostrzeżenie, mijając na redzie transatlantyckie kolosy, kursujące z minutową dokładnością między obu półkulami. Inna jest droga szaleńców, którzy umiłowali swobodę i tajemnicę nieznanych dni. Wiatr dmie w żagle — po kilku godzinach rozpływa się w dali horyzontów sylweta ojczystego portu. Jacht bierze kurs na „prosto przed siebie". Dopiero 10 tysięcy mil od brzegu nabierają barwy i prawdy słowa: świat jest wielki!

Witold Mars.



Powyżej: Na całym świecie spotkać można melancholijnego Chińczyka, utrzymującego palarnię opium.



Jeden z bulwarów w Palm Beach obramiony pięknemi palmami.



WSZYSTKIE RYSUNKI WITOLDA MARSA



Wszystkie dancingi świata są do siebie podobne. Na lewo: Londyński Trafalgar Square w nocy.

Poniżej: Przy zielonych stolikach spotyka się te same typy opanowane namiętnością gry.





Auta Cooka rozwożą po mieście ciekawych turystów.

Na prawo: „Place de la Concorde" jest jednym z najpiękniejszych bulwarów świata.



KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsza serja znaczków estońskich, wydanych na korzyść ***celów*** *dobroczynnych.*

Z prawdziwą satysfakcją witamy dalsze ukazujące się wartości z polskiej serji krajobrazowej. Reprodukujemy poniżej znaczek 45-groszowy w kolorze fioletowo-karminowym, przedstawiający zamek w Podhorcach. Panowie Sowiński i Polak, którym zawdzięczamy techniczne przygotowanie znaczka mogą się już mierzyć z zagranicznymi mistrzami sztuki rytowniczej. Mamy nadzieję, że po wydaniu pełnej serji znaczków opłaty, Ministerstwo Poczt i Telegrafów przystąpi do druku nowych marek lotniczych, gdyż serja z r. 1924 nie odpowiada zupełnie potrzebom, względnie została już wyczerpana.

Dzięki uprzejmości P. T. Filatelistów i firm krakowskich otrzymaliśmy nowości kilku krajów jeszcze przed zanotowaniem ich przez dodatki katalogów. Ze zbioru p. dyr. Landaua reprodukujemy serję znaczków Estonji, wydaną 6 bm. Znaczki dobroczynne wydrukowane typografją na papierze z „poddrukiem" są sprzedawane po podwójnej cenie nominalnej: kolory 10+10 s., zielono-lila, 15+15 s., czerwono-niebieski, 25+25 s. niebiesko-czerwony, 50+50 s. oliwno-bronzowy. (Przy podawaniu barwy znaczków dwukolorowych na pierwszem miejscu wymienia się kolor zewnętrzny).



Od góry ku dołowi: Najnowszy znaczek polski, portugalski znaczek kolonji Mozambiku, znaczki malajskich państewek wyspiarskich.

Z firmy Hormentowski (Kraków, Sławkowska 24) otrzymaliśmy znaczki półwyspu malajskiego. W kolonjach angielskich niema już więcej typów standartowych i motyw: „biegnącego tygrysa" został zarzucony.

Znaczek Mozambiku, wydany z okazji wprowadzenia komunikacji lotniczej, jakoteż serja drukowana przez światowej sławy firmę Waterlow et Sons przedstawiają się okazale (z firmy Fried, Karmelicka 35).

Niemcy nie ustają w wydawaniu coraz to nowych znaczków jubileuszowych — oto zapowiedziano 2 nowe wartości po 6 i 12 f., które mają upamiętnić rocznicę wprowadzenia komunikacji motorowej.

Stany Zjednoczone wprowadzają stałą służbę lotniczą poprzez Ocean Spokojny — można się spodziewać, że znaczki za 25 c., 50 c., 1 dol., będą równie piękne, chociaż mniej rzadkie, jak serja Zeppelinów z 1929 roku.

Z życia klubów i stowarzyszeń. Krakowski Związek Filatelistów odbywa swe stałe zebrania w czwartki po 1. i 15. każdego miesiąca w lokalu „Szarotka", pl. WW. Świętych.

W następnym kąciku filatelistycznym rozpoczniemy serję krótkich wskazówek ostrzegawczych p. t. „Precz z fałszerstwami".

W. H.

W ZACISZNEJ PRACOWNI PRZYJACIELA ZWIERZĄT

Jakże odległymi wydają nam się czasy, w których kukułka wybiegała z zegara, by oznajmić godzinę w sali, zapełnionej zbrojami, trofeami, czy rzeźbionemi meblami.. Dziś nie rozumie się już poezji życia człowieka, poświęcającego się rzeźbieniu jakiej misternej kulki, ażurowej, we wnętrzu której obraca się inna, wyciosana z tego samego kawałka kości słoniowej...

Dziś, w tempie maszyn, wykonywujących za człowieka jego pracę, i zabierających mu również chleb jego, — widok podobnych ludzi wydałby się nam paradoksem! A jednak... Jednak w czasie mych wędrówek po Paryżu wpadłem na takich ludzi, którzy aż zadziwiają w tem wielkiem mieście! Jeden mieszka w centrum Paryża, tuż przy Giełdzie, spiętrzonej hałasem od rana do nocy. Dzielnica handlowa, kupiecka. I tu, paradoksalnie, broni swego zawodu pan Bontemps, ożywiacz ptaszków... Wypycha on ptaszki zmarłe i zwraca im głos, zwraca głos tak misternie, że maleństwa poczynają oddychać i otwierać dziobek, kwiląc... Dziwny czarodziej posuwa swój kunszt jeszcze dalej. Tworzy ptaszki, skleja je, już nie naśladuje natury, ale ją — ulepsza, uzupełnia. Mógłby wprawdzie posunąć się w swem dziele aż do parodji, dając wronie głos kanarka, a słowikowi krzyk sowy... Praca tego artysty nie jest łatwa. Przedewszystkiem stara się odtworzyć głos poszczególnych ptaków i zakląć go w system kółek i kółeczek aparatu, podobnego do mechanizmu syreny. Lecz w danym wypadku aparat jest niezwykle skomplikowany, by oddać delikatne i zmodulowane trele... Ów czarodziej jest tak odległy od naszych czasów, że nawet praca jego zorganizowana jest na ne w zębach i trybach kółek i walców... Ameryka była do niedawna głównym dostawcą ptaków, które w Paryżu opatrywano po wypchaniu mechanizmem śpiewającym. Dziś Ameryka wzbrania wywozu ptaków, spostrzegając, ile przynosi to strat, spowodu przerostu liczebnego szkodliwych owadów



Staruszek Bontemps przy warsztacie, na którym „ożywia" ptaszki specjalną maszynerją.

wzór średniowieczny, rodzinny. Pracuje z żoną i ze synem. Ten ostatni, idąc za postępem czasu, skończył specjalną szkołę zegarmistrzowską, co pozwala udoskonalić śpiewy i trele, podsłuchane przez ojca i uwiecznio-

Poniżej: Praca ogrodnika przy zapylaniu kwiatów wymaga wielkiej precyzyjności.



i robaków, niszczonych zwykle przez ptaki... żywe. Trzeba więc fabrykować ptaki sztuczne i zwracać się do kur i kaczek w poszukiwaniu piórek. Żeby wrażenie było całkowite, ptak tak „ożywiony" zostaje zamknięty do klatki.

* * *

Drugi czarodziej, którego obserwowałem niedawno, należy do kategorji, lepiej znanej i w Polsce: to poprostu ogrodnik. Ze szkłem powiększającem rozbiera on kwiaty, drobnemi szczypczykami szpera wśród szypułek i nasion, przenosi ostrożnie pyłki zarodcze, z kwiatka jednej rośliny na drugą i czeka. Jeden, niekiedy dwa sezony... I kombinuje i tworzy dalej. Dziś matematycy przychodzą mu z pomocą. Mikroskop stara się ułatwić jego pracę. — „Pracę"? Przecież on traci właściwie czas bezużytecznie — powie niejeden. Poco powiększać ilość istniejących roślin, skoro i tak jest ich tyle?...

Ale ci sami, którzy to mówią, lubują się różami herbacianemi czy czarnemi, wyhodowanemi sztucznie, podobnież, jak i bzem różowym. Istnieją specjaliści, których życie jest za krótkie, by zgłębić tajemnicę 16.000 różnych odmian li tylko róż, hodowanych w pewnej wielkiej kwiaciarni nad Rodanem we Francji...

Ileż niespodzianek w tych sztucznych skrzyżowaniach! Ogrodnik-specjalista wybiera roślinę męską dla jej okazałości, kolorów, kształtów; żeńska odznaczać się musi siłą, mocą. Wtedy, w chwili odpowiednio zbadanej, oczekiwanej w ciągu miesięcy, pojawiają się — szczypczyki. Po operacji — separacja rośliny. I znowu oczekiwanie, tak często nadaremne, bo wynik nie zadawala badacza, poetę ogrodów...

Podobno matematyka określiła ściśle zalety, wymagane od obu roślin. Wystarczy więc rachunek i mikroskop, by uzyskać nową, nieskończoną gamę odmian najcudowniejszych roślin... Narazie pracują poeci w ogrodach.

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

LUDZIE SALAMANDRY



Znany fakir i magik hinduski Hadżi Ali wykonywuje jedną ze swoich popisowych sztuk, gasząc na odległość palący się przedmiot.

W miarę postępu nauki coraz mniej pozostaje z dawnego romantyzmu. — Krytycyzm dzisiejszej epoki niweczy niejedną z iluzyj i to, co było dotychczas zagadkowe, zostało rozumowo wyjaśnione i zredukowane do formuły matematycznej lub chemiczno-fizycznej. Tak znika barwność i tajemniczość dawniejszych problemów.

Nie znaczy to bynajmniej, jakoby epoka nasza nie miała swojego własnego romantyzmu. Ten, komu dane jest wgłębić się cokolwiek w tajniki nowoczesnej nauki, z podziwem przypatruje się zabiegom nowoczesnych alchemików, niebywale ciekawym zagadnieniom, wynikającym z postępu fizyki i chemji. Zaledwie została w systemie nowoczesnej nauki pokonana jedna trudność, a już pojawia się cały szereg innych. Umysł ludzki znajduje dla siebie coraz więcej tematu. Nietylko jednak umysł ,ale także fantazja i wyobraźnia.

Nad niejedną tzw. „sztuką", pokazywaną przez prostych i niewykształconych ludzi, głowią się często uczeni, nie mogąc jej bliżej wyświetlić. Niedawno zademonstrował pewien Hindus w Londynie zgromadzonym chirurgom, psychjatrom i fizykom ciekawy fenomen, znany jeszcze z czasów średniowiecznych. Jak wiadomo, w średniowieczu stosowano niekiedy tzw. sąd Boży, polegający na tem, że oskarżony musiał przechodzić przez rozżarzone węgle. Jeżeli udało mu się to uczynić bez uszczerbku dla zdrowia, było to dowodem jego niewinności, w przeciwnym wypadku świadczyło to o jego winie. Zastanawiając się bliżej nad tem, niejeden nie mógł pojąć, jak można było tego rodzaju próbę nazwać sądem, kiedy w istocie było to już wyrokiem. Przecież nikomu chyba nie udało się nigdy przejść przez ogień bez szkody, chyba żeby zdarzył się jakiś cud. — Otóż ów Hindus pokazał, że potrafi gołemi stopami przejść przez rozżarzone węgle drzewne bez najmniejszego oparzenia skóry. Po nim spróbowali to uczynić również dwaj Anglicy, ale skoro tylko dotknęli się rozpalonego węgla, ulegli dotkliwym poparzeniom.

To doświadczenie dało asumpt do roztrząsań zarówno w kołach fizyków, jak i też wśród lekarzy,, co mogło być powodem tej dziwnej niewrażliwości skóry Hindusa. — Gdybyśmy bowiem nawet przyjęli, że jest on zahartowany na cierpienie, to nie zrozumielibyśmy jeszcze, dlaczego skóra nie spaliła się w ogniu. Przy tej sposobności przypomniano sobie także zawodowych połykaczy ognia, którzy produkują się w cyrkach i na jarmarkach, a których sztuczki niezawsze polegają tylko na oszukańczych manipulacjach i zasugerowaniu widzów.

Warto zaznaczyć, że już oddawna różni uczeni zajmowali się tą sprawą. Szczególnie interesował się tem chemik francuski Boutigny. Przypomniał on, że w hutach żelaznych hutnicy biorą bardzo często rozżarzone przedmioty do ręki, a nie ponoszą z tego powodu żadnej szkody. Boutigny opowiada, że pewien robotnik na Hucie Magny koło Lure przeciął palcem ognisty strumień płynnego żelaza, a nawet nie sparzył sobie ręki. To samo robili inni robotnicy. Boutigny próbował wobec tego sam pokazać tę sztukę i ręką przeciął strumień płynnego żelaza lanego o grubości 6 cm., a potem rękę zanurzył w naczyniu napełnionem płynnem rozpalonem żelazem i to bez żadnych środków ostrożności. Także i jemu udało się to w zupełności. Uczony wyjaśnia to zjawisko faktem, że skóra jest zawsze cokolwiek wilgotna i ta warstewka wilgoci stanowi warstwę izolacyjną, wystarczającą na krótką chwilę dla ochrony przed poparzeniem. Jeżeli się chce zastosować specjalne środki ostrożności, to wystarczy natrzeć ręce mydłem albo też zanurzyć je do roztworu salmiaku, nasyconego dwutlenkiem siarki. Często wystarcza zanurzyć ręce tylko w zimnej wodzie.

Dumas opowiada o innem doświadczeniu, które miało miejsce również w hucie szklannej. Jeżeli do wiadra z wodą wlejemy pewną ilość roztopionego płynnego szkła, które jest przecież zupełnie rozżarzone, to można to szkło w wodzie miesić jak ciasto. Dumas tłumaczy też, na czem polega to doświadczenie. Według niego dają się tu wyróżnić dwa momenty. W pierwszej chwili masa szklana jest izolowana przez wodę, która jej dotyka. W drugiej fazie jest ona pokryta cieniutką warstewką już powstałego skrzepłego przeźroczystego szkła, przez którą można nawet widzieć jak wewnątrz szkło jest rozpalone. Ponieważ faza pierwsza przechodzi bardzo szybko w drugą a warstewka skrzepłego szkła izoluje, przeto można przez pewien czas urabiać rozpalone szkło w wodzie tak, jakgdyby to było ciasto.

Chemik francuski Regnault interesował się specjalnie połykaczami ognia. Stwierdził, że ludzie ci bardzo często chronią się przed poparzeniem mieszaniną równych części roztworu siarczku amonowego (amoniak nasycony siarkowodorem) salmiaku, olejku rozmarynowego i soku z cebuli. Kto ma ochotę, może oczywiście tego przepisu spróbować. — jednakowoż na... odpowiedzialność pana Regnaulta!

Połykacze ognia znani byli już w dawniejszych stuleciach. Tak np. głośny był Anglik Richardson w XVII w. oraz Latour i Reger z początkiem XIX wieku. Znany jest także jeszcze przepis pochodzący z XVII wieku, według którego należy zmieszać tłuczone korzenie ślazowe z białkiem i tem posmarować sobie ręce lub nogi, a na to posypać miałko tłuczonego ałunu. Ma to być dobrym środkiem przeciwko poparzeniu.. Połykacz ognia Richardson nacierał sobie podobno ręce, usta, wargi, zęby i podniebienie wyżej wspomnianym siarczkiem amonowym i w ten sposób te części ciała stały się niewrażliwe na ogień.



Również zawód fakira wymaga treningu: Oto ćwiczenie w chodzeniu na gwoździach i stąpaniu na ostrzu miecza.

Sementini i Hey około r. 1809 używali do tego samego celu ałunu i mydła. Tak więc tajniki dawnych połykaczy ognia zostały przeważnie już wyświetlone. Niewiadomo tylko, czy także i fakirzy hinduscy posługują się temi samemi środkami. W każdym razie przy odpowiedniej zręczności i zastosowaniu właściwych środków ochronnych nie jest tak trudno wprawić tłum gapiów w zachwyt i zdumienie, i to zarówno na tem polu, jak i w innych dziedzinach!

Inż. J. Anisfeld.



Portret własny artysty, malowany w r. 1935.



„Śmierć Pułaskiego pod Sawannah".



„Polskie Termopile" (bohaterska bitwa hallerowskiej dywizji pod Zadwórzem w r. 1920).

Jako 23-letni młodzieniec otrzymał na międzynarodowej wystawie sztuki w Berlinie w r. 1891 Stanisław Batowski nagrodę za obraz pt. „Odwiedziny u malarza ikon". Jako lwowianin z dziada-pradziada po dłuższych studjach zagranicą powrócił do swego rodzinnego miasta, poświęcając już pierwszą swą pracę kochanemu miasto. Był nią karton do witrażu zdobiącego katedrę lwowską, przedstawiający „Oblężenie Lwowa w r. 1648". Całe swe pracowite życie poświęcił utalentowany artysta służbie dla Polski. Ilustrował trylogję Sienkiewicza i stworzył szereg monumentalnych obrazów historycznych, jak „Żółkiewski pod Cecora", „Złożenie ślubów Jana Kazimierza", studja do wielkiego niewykonanego tryptyku „Unja Brzeska". — Wiele kościołów w Małopolsce wschodniej zawdzięcza swą ozdobę talentowi Batowskiego. Wojna głęboko wzruszyła urodzonego batalistę, to też poświęcił jej niemal całkowicie swą twórczość, wiele dzieł stało się świetnemi dokumentami historycznemi, jak reprodukowany wyżej obraz „Polskie Termopile". Dzieło to wraz

Poniżej: Portret hr. Czosnowskiej (r. 1930).



ZŁOTE GODY ZE SZTUKĄ STANISŁAWA BATOWSKIEGO

z drugą piękną kompozycją „Śmierć Pułaskiego pod Sawannah" zdobiło reprezentacyjną halę w czasie powszechnej wystawy w Chicago w r. 1933 i przeszło na własność „Związku Polek" w Ameryce. Kompozycja zatytułowana „Polskie Termopile" wzbogaciła Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Dwa wymienione dzieła przyniosły wielką sławę artyście za Oceanem. „Sunday Tribune" reprodukowało w świątecznym dodatku w 2 miljonach egzemplarzy „Pułaskiego", a prezydentowa Rooseveltowa dokonała uroczystego otwarcia wystawy tych obrazów w Chicago. Poza batalistycznemi zdolnościami Batowski posiadł sławę jednego z najznakomitszych portrecistów w Polsce. W r. 1935 otrzymuje nagrodę za „najpiękniejszy portret kobiety", na wystawie Towarzystwa „Zachęty Sztuk Pięknych" w Warszawie, a śp. król jugosłowiański Aleksander zamówił u niego oficjalny swój portret, oraz królowej. W pięknym gmachu Przysposobienia Fizycznego i P. W. im Marszałka Piłsudskiego w Kielcach znajduje się tryptyk artysty na temat wejścia Pierwszej Kadrowej do Kielc. Dwa portrety Marszałka Józefa Piłsudskiego, wykonane w ostatnim roku, należą do najbardziej udatnych portretów Marszałka. Stanisław Batowski, tak zasłużony dla rozwoju kultury artystycznej Lwowa, nie zniża lotu swej twórczości mimo 70 lat, lecz tworzy w przykrych współczesnych warunkach, z zapałem dzieła o wysokich walorach, zachowując po dziś dzień świeżość kolorystyczną, spotęgowaną mistrzowskiem opanowaniem rysunku.

ZWIERCIADŁO TWARDOWSKIEGO

W. DE RICHE — **NOWELA**

— A zauważył pan stare, srebrne zwierciadło w kształcie prostokąta, otoczonego szeroką, lśniącą ramą, na której widnieją wpółzatarte litery? — zapytał mnie staruszek, kiedy usiedliśmy przy kominku po skromnej wieczerzy. — Zwierciadło, wiszące nad wejściem do zakrystji?

— Owszem, widziałem — odrzekłem, zapalając papierosa. — To jedna z tutejszych osobliwości. Mówią, że to zwierciadło, którem posługiwał się Mistrz Twardowski w swych czarnoksięskich praktykach...

— Mówią... — mruknął zniecierpliwiony. — Mówią. Ja wiem to na pewno. Wiem z ust brata, który przekonał się o tem... hm... na własnej skórze, i który odkrycie swoje przypłacił życiem.

Umilkł, jakby szukając słów.

— Może uważać to pan będzie tylko za fantazję starego człowieka, ale dziś nie zależy mi już na ludzkich sądach. Przed laty, kiedy byłem jeszcze nauczycielem, wystrzegać się musiałem śmieszności. Ale dziś...

— Wspomniał pan o śmierci brata — przerwałem, nie chcąc, aby rozmowa zeszła na banalne tematy.

— Tak... tak — rzekł. — O śmierci. Powiedzmy raczej o zniknięciu. Do dzisiejszego dnia nie wiem bowiem, czy umarł.

Zaczął opowiadać.

Brat mój był złotnikiem i to złotnikiem bardzo dobrym. Zczasem stworzył duży warsztat, ale chociaż miał kilku uczniów i pomocników, pracował zawsze, jak prosty robotnik i — mojem zdaniem — ponad siły. W okresie poprzedzającym wypadki, o których mówię, stan zdrowia jego tak wiele pozostawiał do życzenia, że lekarz groził smutnemi następstwami, jeśli brat mój nie wyjedzie na dłuższy odpoczynek. Zdarzyło się jednak, że w tym właśnie czasie zwrócono się do niego z propozycją odnowienia relikwjarzy z pobliskiego klasztoru. Propozycja była bardzo pochlebna ze względu na wielką wartość relikwjarzy, a że brata polecił przeorowi dobry nasz znajomy, miejscowy proboszcz, trudno mu było wymówić się. Zadecydował zatem, że wykona zamówienie przed dorocznym odpustem i zaraz potem wyjedzie na odpoczynek. Mieszkaliśmy wtedy razem, to też wiedziałem dobrze o wszelkich poczynaniach brata. Zaczęła się wytężająca praca nad relikwjarzami, praca, którą brat wykonywał sam, nie chciał bowiem w tak ważnej sprawie zdawać się na pomocników. Codziennie przesiadywał w pracowni prawie do północy i wracał znużony i wyczerpany. Zauważyłem, że ogarniało go coraz większe rozdrażnienie. Stał się opryskliwy i kapryśny, wreszcie wyjawił mi swą tajemnicę. Przyznaję, że ogarnęło mnie zdumienie i że stanąłem bezradny.

Przerwał, wytrząsnął popiół z fajki i mówił dalej po chwili:

— W całej tej historji zwierciadło, które pan widział, odgrywa rolę bardzo ważną. Nie było ono jednak pęknięte, jak dzisiaj i to utwierdza mnie w przekonaniu, że mimo wszystko, zniknięcie mego brata pozostaje z niem w łączności.

— Pewnego dnia — mówił dalej staruszek — brat mój wrócił do domu bardzo zmęczony. Zasiedliśmy do stołu. W pewnej chwili odsunął talerz i rzekł: „Muszę być chory. Zdaje mi się czasami, że widzę dziwne rzeczy. Otwierają się przede mną nieznane możliwości. A wszystko... wszystko dzięki zwierciadłu, które mi proboszcz dał do oczyszczenia".

— Musi pan wiedzieć — wtrącił mój gospodarz — że w okresie, kiedy brat pracował nad odnowieniem relikwjarzy, znajdowało się czasowo w jego pracowni zwierciadło z srebrnej blachy, które od niepamiętnych czasów wisi nad wejściem do zakrystji w tutejszym kościele, i które zowią zwierciadłem Twardowskiego. Proboszcz nasz — Panie świeć nad jego duszą! — postanowił w przystępie dobrego humoru dać lustro do oczyszczenia, gdyż stan jego pozostawiał wiele do życzenia, a przejeżdżający pytali często o ten zabytek. Przyniesiono je bratu memu do pracowni, który powiesił zwierciadło nad stołem, a później, kiedy rozpoczęła się praca nad relikwjarzami, zupełnie o niem zapomniał.

— Pewnej nocy — musiało to być już bardzo późno, gdyż głód zmusił go do przerwania pracy i pomyślenia o powrocie do domu — spojrzał mimowoli na srebrne lustro, wiszące nieco z boku nawprost lampy i zatrzymał się zaintrygowany dziwną grą świateł na jego powierzchni. Zazwyczaj zwierciadło odbijało przedmioty niewyraźnie, gdyż srebrna jego tafla stała się z biegiem lat matową i jakby zamglona. W mrocznym kościele robiło na mnie wrażenie niepotrzebnego sprzętu. Przy bliższych oględzinach zyskiwało niewiele. Pomnę, że widziałem je kilkakrotnie w pracowni brata i że dziwiła mnie jego martwota i — że się tak wyrażę — zdolność zacierania konturów przeglądających się w niem postaci. Sądzę, że cecha ta rzucała się w oczy każdemu człowiekowi. Wiedział o niej i mój brat, gdyż wygląd zwierciadła zwrócił teraz jego uwagę. Przystanął i zaczął się w nie wpatrywać. Srebrna tafla zatraciła swą matowość i stała się czysta, jak najlepsze szkło kryształowe. Pole widzenia przesunęło się wgłąb, a w przeciwieństwie do obrazów oglądanych w zwyczajnym lustrze, odbijające się w niem przedmioty drugo- i trzecio-planowe nabrały charakteru niezwykłej wyrazistości. Rzecz ciekawa — na szczegół ten brat mój zwrócił odrazu uwagę — że obraz, widziany w zwierciadle, był teraz dziwnie plastyczny. Przyczyną tego było, jakby należało wnosić, zatarcie się konturów metalowych ram, ujmujących lustrzaną taflę, które zdawały się zlewać ze ścianą pokoju. W rezultacie, patrzący odnosił wrażenie, jakby pracownia i jej zwierciadlane

odbicie stanowiły jedną całość; co więcej, jakby sama pracownia była odbiciem obrazu oglądanego w lustrze, a obraz rzeczywistością. Dodać muszę, że odbiciem niezupełnem. W głębi srebrnego lustra była bowiem pustka. O ile dobrze zrozumiałem słowa mego brata, a starał się opisać wrażenia swoje jak najdokładniej, tło zwierciadlanego obrazu było szare i jednostajne, jakby sufit i ściana w tyle pracowni, wraz ze znajdującemi się na niej przedmiotami, zniknęły, pochłonięte przez gęstą mgłę. Złudzenie było tak wielkie, że brat mój oglądnął się, zdumiony. Ale wszystko trwało na swojem miejscu... narzędzia, ubrania i ściany w głębi, na których snuły się rzucane przez lampę cienie. Zwrócił znów oczy na zwierciadło. Nie mylił się; wizja zwierciadlana była niezupełna. Nie miała żadnego tła, jakkolwiek nie wpływało to w większym stopniu na całokształt obrazu. Widzi pan — to tak, jakby na scenie nie było głównej dekoracji, a tylko umeblowanie i boczne kulisy. Co jednak było w tem wszystkiem najbardziej niepokojące, to ciągła zmiana odcieni na zamykającej obraz pustej, mglistej ścianie w głębi. Widniały na niej miejsca ciemniejsze i jaśniejsze, jakby ledwie zaznaczające się zarysy przedmiotów lub postaci. Ta gra świateł, względnie nawet półświateł, zwróciła od pierwszej chwili uwagę brata na srebrną taflę i umożliwiła następnie dokładną jej obserwację. Ale muszę dodać, że owego wieczora Wacław nie zdawał sobie tak bardzo sprawy z niezwykłości wizji i jak sam mówił, dopiero po powrocie do domu zaczął zastanawiać się nad jej szczegółami. Nie uważał też za stosowne wspominać o niej komukolwiek.

— Następnej nocy zajęty był tak bardzo swą robotą, że oderwało go od niej dopiero moje przybycie. O lustrze zapomniał, a i ja, w czasie mojej krótkiej bytności w pracowni, nie zauważyłem w niem nic szczególnego. Nazajutrz jednak nadarzyła się bratu sposobność powtórnych oględzin zwierciadła, kiedy rozpoczęło znowu swą taemniczą grę. Nie wiem, czy to, co zadecydowało o jego dalszem życiu, stało się już wtedy, czy też któregoś z następnych wieczorów. Być może, że ciągłe skupianie uwagi, przyprawiające umysł o stan dziwnego przeczulenia, czyniło go coraz bardziej podatnym na wrażenia, w zwykłych warunkach nie podpadające pod zmysły. Zwierciadło, na które — jak mi się zdaje — musiał zrazu spoglądać obojętnie, a co najwyżej z lekkiem zainteresowaniem, zaczęło stopniowo zaciekawiać go coraz bardziej. Doszło do tego, że przesiadywał przed niem chętnie, ilekroć czuł się wyczerpany pracą, gdyż śledzenie za szczegółami, urągającemi pewnym prawom fizycznym, o których wspomniałem, sprawiało mu przyjemność. Zczasem stało się dla niego najmilszem wytchnieniem, a nawet potrzebą. Czuł się już, jak morfinista, który nie może żyć bez ulubionej trucizny.

Pomyśl pan jednak, że teraz zaszło coś nieprzewidzianego. Zakochał się... Zakochał się na śmierć i życie...

— W jakiejś tutejszej piękności? — zapytałem.

— Niestety! — odpowiedział staruszek. — Nawet się pan nie domyśla... Zakochał się w Barbarze Radziwiłłównie.

— Nie rozumiem...

Spojrzał na mnie z miną triumfującą.

— Tak jest — rzekł. — W Barbarze Radziwiłłównie. A raczej w jej widmie. Bóg jeden wie, co to było.

Kaszlnął i podniósł rękę, widząc, że chcę go o coś zapytać.

— Zaraz to panu wyjaśnię — rzekł. — I ja nie mogłem tego zrozumieć. Zresztą dowiedziałem się o wszystkiem za późno. Zakochał się, ściśle mówiąc, w zwierciadle... Wnoszę z wynurzeń jego, zrazu nieśmiałych i ogólnikowych, później coraz bardziej dokładnych i szczerych, że musiało to nastąpić niespodziewanie. Pewnego wieczora, kiedy zasiadł, jak zwyczajnie, przed srebrną płytą i zaczął zastanawiać się nad dziwną grą półcieni i na szarem tle w głębi obrazu, stało się coś nieprzewidzianego. W pewnej chwili, jasne i ciemne plamy na dnie lustrzanego obrazu, skupiły się razem, zebrały i jakby ustaliły, tworząc zarysy postaci kobiecej. Postać ta uwydatniała się coraz lepiej, aż wreszcie — w ciągu zapewne kilkunastu sekund — znikła ściana gęstych mgieł, widniejąca gdzieś w głębi zwierciadła i srebrna tafla stała się zupełnie czystą. Równocześnie, jak w teatrze po podniesieniu zasłony, ukazała się oczom brata nieznana mu komnata, o charakterystycznych łukowych sklepieniach i małym kominku, przed którym stała młoda kobieta w bogatym stroju. Wspomniałem panu, że obraz oglądany przez brata mego Wacława w srebrnem zwierciadle, nie robił wrażenia wizji. Nic więc dziwnego, że i kobieta, którą ujrzał nagle przed sobą, wydała mu się żywą istotą. I od chwili, kiedy ukazała się w mrocznej pracowni, w umyśle jego — tak sobie przynajmniej wyobrażam — dokonać się musiała dziwna przemiana. Może przyczyną tego była niezwykła przejrzystość obrazu, a może piękność i urok tej kobiety. Życie było tam... obok tej kobiety. Tu, na ziemi, spał dotąd i co najwyżej marzył. Zapewne z początku zdawał sobie jeszcze sprawę z różnicy między światem rzeczywistym, a zwierciadlaną wizją, sądzę jednak, że zczasem... może już po kilku dniach zatracił tę świadomość i poddał się czarowi zjawy. Mówiłem, że kobieta, która się mu pokazała, była niezwykle piękną. Opisywał mi ją kilkakrotnie. Średniego wzrostu, o delikatnej, trochę bladej cerze, z ślicznemi, przepaścistemi oczyma i białemi, drobnemi ząbkami, wydać się musiała bratu memu aniołem. Stracił głowę...

— Stała, jak posąg, spoglądając gdzieś w głąb pracowni, a wzrok jej wyrażał dziwną tkliwość i smutek. Jej kształtna główka przybrana była w bogaty czepiec, spod którego wymykały się swawolnie czarne włosy. Na szyi widniało kilka sznurów pereł, otaczających ją ruchomem, lśniącem pasmem. Ciężka suknia, z materjału podobnego do jedwabiu, z bufiastemi rękawami, zakończonemi gazowemi mankietami z koronką, zakrywała jej biust i ramiona. Stała nieruchomo ze złożonemi rękoma, których długie palce przystrojone były pierścieniami. Pod opuszczającem się nisko łukowem sklepieniem wyglądała, jak dama ze średniowiecznego obrazu. I jeśli nawet to, co widział na własne oczy, mogło wydawać mu się chwilowo dziwnem i niewytłumaczonem, sądzę, że zmęczony jego umysł uległ czarowi zjawy bardzo prędko. Owego wieczora musiał jednak wziąć jeszcze górę trzeźwy sąd o zjawisku, gdyż w pewnej chwili obraz w zwierciadle zniknął, srebrna tafla zaciemniła się i dno jej stało się znowu matowoszare. Sądzę, że brata mego przyprawiło to raczej o niezadowolenie i że w głębi duszy owe odruchy krytycyzmu były mu nie na rękę.

— Kiedy na drugi dzień, po wielogodzinnej pracy, zasiadł przed zwierciadłem, był już jakby nastawiony na to, co miał zobaczyć. I zobaczył ją rzeczywiście. Nie chcę rozwodzić się nad historją kilku czy też kilkunastu następnych wieczorów. Faktem jest, że zżył się z wizją, że stała się ona dla niego czemś nieodzownem i że tęsknota za panią jego serca była teraz właściwą pobudką do dalszej pracy. Przesiadywał przed zwierciadłem i upajał się widokiem kobiety, która przychodziła noc w noc, zawsze niebiańsko piękna, zawsze zapatrzona gdzieś w zaświaty i zawsze pełna oszałamiającego uroku. Brat mój stracił zdolność rozumowania i nie zdając sobie nawet z tego sprawy, zakochał się bez pamięci. Dowiedziałem się o tem, jak już wspomniałem, za późno. Przypominam sobie dokładnie ów wieczór, kiedy opowiedział mi historję swojej miłości. Słuchałem go zrazu z niedowierzaniem, potem ze zdumieniem, wkońcu jednak ogarnął mnie strach i zgroza. To nie ulegało wątpliwości, brat mój oszalał. Starałem się wytłumaczyć mu, że padł ofiarą halucynacji, będącej następstwem przemęczenia. Wzruszył ramionami. „Złudzeniem jest raczej moje dotychczasowe życie i wy wszyscy", rzekł. Apelowałem do jego zdrowego rozsądku. „Nie jestem szaleńcem".

— Słowa te upewniły mnie w przekonaniu, że wizja mego brata miała charakter nieosobisty — przynajmniej narazie — że kobieta, o której mówił, przemawiała tylko do jego wyobraźni i serca, ale nie zwracała się wprost do niego. Pan rozumie — trwała, ale nie działała. Wystarczyło to jednak, aby uczynić z niego jej niewolnika, manekina, gotowego spełnić wszelki rozkaz. „A jeśli na ciebie spojrzy?" zapytałem, zatrzymując oddech w piersiach. „Jeśli spojrzy", odpowiedział, „i każe mi iść za sobą, pójdę". „Gdzie?" zadałem mu dalsze pytanie. „W zwierciadło?" Uśmiechnął się i rzekł: „Niema żadnego zwierciadła. To tylko środek, umożliwiający przejście do właściwego życia. Jeden krok i zacznę dopiero istnieć. Ale ona musi mi podać rękę".

— Może sobie pan wyobrazić, jak byłem przerażony. Mówił, jak w gorączce, ale mówił tak spokojnie, jakby to wszystko było najnaturalniejszą rzeczą. Siedzieliśmy w ową noc prawie do drugiej nad ranem. Słowa jego świadczyły, że od ukazania się zjawy nie wyobraża sobie życia, jak dawniej. Tam, poza zwierciadłem, gdzie przebywała nieznajoma, rozciągał się inny, piękniejszy świat, którego nasz był tylko marnem odbiciem. A on miał szczęście, że znalazł przewodniczkę, która otworzyła mu oczy na właściwe wartości i która — wierzył w to mocno — zabrać go tam z sobą może, jeśli zechce. I nie taił się z tem, że za nią pójdzie, jeśli na niego spojrzy, jeśli mu poda rękę...

— Zdawałem sobie sprawę z chorobliwego stanu Wacława, ale czułem się bezradny. Postanowiłem w każdym razie zawezwać nazajutrz lekarza...

— I pan sądzi — wtrąciłem — że kobieta, którą ujrzał pański brat w zwierciadle Twardowskiego, była widmem Barbary Radziwiłłównej?

— Trudno mi o tem sądzić — odpowiedział, jakby z niechęcią. — Tak mi się zdaje. Pan wie... Legenda głosi, że Twardowski na życzenie Zygmunta Augusta, wywołał ducha zmarłej jego żony, Barbary Radziwiłłównej, przy pomocy magicznego zwierciadła. Być może, że brat mój znalazł się z niewytłomaczonych powodów, w odpowiednim nastroju do odebrania pewnych wrażeń... wrażeń niezwykłych. Bądź co bądź, był pierwszym człowiekiem, który po długich latach przyglądał się tajemniczemu zwierciadłu przez szereg dni. Duch nieszczęśliwej Barbary, związany z srebrną taflą zwierciadła — wierzę bowiem, że właśnie to zwierciadło było pośrednikiem przy ostatniem widzeniu się królewskiej pary kochanków w obecności Twardowskiego — ukazał się memu bratu, jak w ową noc na Wawelu, kiedy zwabiło go z za świata zaklęcie Mistrza do królewskiej komnaty... I stało się, że oczy pięknej, przedwcześnie zmarłej i biednego, zakochanego w niej złotnika spotkały się wreszcie...

— Jakto? — zapytałem, odrzucając papierosa. — Pan sądzi?...

— Ja w to wierzę — odpowiedział. — Wierzę, że mimo wszystko, wizja mego brata miała jakieś uzasadnienie. To, co mówię, wydać się może mrzonką. Przyznaję, że nie mam dowodów... że ostateczne rozwiązanie odtworzyć sobie musiałem tylko na podstawie domysłów. Biorąc jednak pod uwagę słowa mego brata i to, co nastąpiło...

— Nazajutrz sytuacja nie wydała mi się tak groźna. Brat obudził się w doskonałym humorze. Nie zauważyłem na twarzy jego śladów zmęczenia lub duchowej rozterki. Zachowywał się tak, jakby zapomniał o swoich zwierzeniach z ubiegłej nocy, a i ja zacząłem zastanawiać się, czy nie lepiej będzie pozostawić go w spokoju. Porozumiałem się jednak po południu z lekarzem, który wyjeżdżał właśnie do chorego. Miałem wstąpić do niego wieczorem i pójść z nim razem do pracowni brata. Nie pamiętam, aby w ciągu tego dnia zaszło coś szczególnego. Nie miałem powodu do niepokoju. Co więcej, obawy moje zaczęły mi się wydawać śmiesznemi. Zapadł zmierzch. Brat mój siedział w pracowni, ale, jak mi mówili jego pomocnicy, nie zabierał się do roboty.

— Wieczór zapadł. Zapaliłem lampę. Widząc, że Wacław nie zdradza ochoty do powrotu do domu, wyszedłem po lekarza, który miał zawsze na niego wielki wpływ. Do dzisiejszego dnia nie mogę sobie darować, że pozostawiłem go samego. Ta myśl spędzała przez dłuższy czas sen z moich powiek. Ale nie mogłem przewidzieć, że właśnie w ciągu tej półgodziny... Poczciwy doktór Nycz wrócił właśnie od chorego i jadł kolację. Wypadało mi zaczekać. Zresztą, nie spodziewałem się bezpośredniego niebezpieczeństwa. A jednak w tym właśnie czasie, w ciągu tych trzydziestu minut, rozegrać się musiał dramat, o ile mogę użyć tego określenia, gdyż nie mam właściwie żadnych danych, aby mówić o dramacie. Kiedy przybyliśmy wraz z doktorem do pracowni, zastaliśmy ją pustą. Lampa płonęła jasno na małej szafce, oświetlającą warsztat, meble i ściany. Jedno z krzeseł było przewrócone, jakby je ktoś odtrącił gwałtownym ruchem. Nad stołem wisiało zwierciadło... przyćmiona, matowa, srebrna tafla. Ale na widok jego, stanąłem zdumiony. Zwierciadło, które jeszcze pół godziny temu nie wykazywało żadnej skazy, było teraz pęknięte na całej długości. Co najdziwniejsze jednak, brat mój przepadł gdzieś bez śladu. W pokoju nie mógł się schować. Okna były zamknięte od wewnątrz. Sprawdziliśmy później, że nie wychodził z pracowni, gdyż nasz stróż nocny, z którym rozmawiałem, idąc do lekarza, siedział przez cały czas w bramie domu, paląc fajkę. W pewnej chwili zdawało mu się nawet, że słyszał w pracowni głuchy okrzyk i krótki metaliczny dźwięk, nie zwrócił jednak na to uwagi. Nikt nie zachodził do mego brata w ciągu tych trzydziestu minut, które upłynęły od mego odejścia. A jednak zniknął... zniknął bez wieści!

— I nie wrócił? — zapytałem mego gospodarza.

— Nie wrócił już nigdy. Była to swego czasu głośna sprawa — mówił dalej, kiwając melancholijnie głową. — Zażądałem śledztwa, przypuszczałem bowiem zrazu, że wymknął się z domu i popełnił samobójstwo. Przeszukano każdy krzak, każdą studnię, każdą piwnicę w miasteczku. Podałem ogłoszenia do gazet... Wszystko napróżno.

— Ale co się z nim stało? Co mogło się stać?

— Otóż to. Co się z nim mogło stać? — Staruszek ożywił się. — Zastanawiałem się nad tem niejednokrotnie. Prawdę mówiąc, nie wiem. Ilekroć jednak przypomnę sobie słowa mego brata, naszą rozmowę w ostatni wieczór i obietnicę, że pójdzie za widmem kobiety, jeśli mu ona poda rękę, zdaje mi się, że stało się to, czego pragnął. Zwierciadło wskazało mu drogę do innego, piękniejszego, nieznanego nam świata, który objawił mu się zupełnie niespodziewanie. A świat ten musiał mieć dla niego wielki urok, jeśli zdecydował się na krok, przekreślający jego życie tu, na ziemi. Być może, że uwiedziony spojrzeniem pierwszej kobiety, którą pokochał, rzucił się ku niej naoślep i przeszedł w krainę, która kryje się gdzieś za załamującemi się na lustrzanej tafli promieniami. Kraina ta jest dla nas wszystkich złudą, pojęciem oderwanem... Ale czem stała się dla niego? Pomyśl pan! Odtrącone krzesło, pęknięte świeżo zwierciadło i krzyk, jaki słyszał stróż nocny! Może uważać mnie pan będzie za szaleńca, ale jestem prawie zupełnie przekonany, że brata mego spotkała dziwna przygoda i że wskutek zbiegu okoliczności, tajemnicze zwierciadło wskazało mu drogę i umożliwiło przejście do krainy piękna, z której jednak już niema powrotu. Wiem, że to dla nas niezrozumiałe, ale czasami wierzę, że dla marzycieli, dla ludzi, obdarzonych wielką wyobraźnią, dla ludzi, chcących widzieć, tylko w krainie złudy, poza srebrną taflą rzeczywistości, istnieje prawdziwe, najwyższe szczęście. Brat mój pożegnał nas bez żalu, kiedy nadarzyła się sposobność i poszedł drogą, którą mu wskazało widmo. Sądzę jednak, o ile wolno mi snuć domysły i wierzyć w możliwość takiego rozwiązania, że wybrał sobie dobrą przewodniczkę, gdyż w krainę złudy, w krainę marzeń i snów, zaprowadzić go mogła tylko ZJAWA.



Upognębieni SIŁACZE

Czytając często kronikę sportową, czytelnik przeciera czasami oczy, ze zdziwieniem widząc, jak fantastyczne poprostu zarobki sportowcom zawodowym przynoszą rozmaitego rodzaju imprezy.

Jest to typowa historja o błyszczącej nędzy. Bokser, który zarabia miljony na ringu, nie posiada bardzo często jednego grosza na życie, a olbrzymie dochody ze spotkań idą do kieszeni menagerów i najrozmaitszego rodzaju pośredników.

Fragment walki Pineckiego (u góry) z Belgiem Constant-le-Marin.

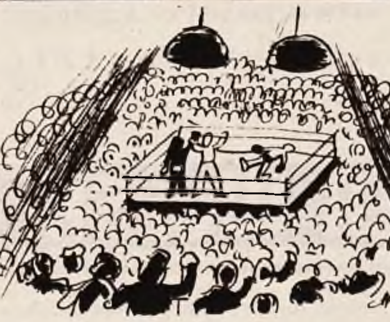


Zajrzyjmy za kulisy sportu zawodowego. Jednym z najbardziej dochodowych bokserów świata był Francuz Carpentier. Walka jego z Dempseyem przyniosła w swoim czasie blisko 2 miljony dolarów. Carpentier jest dziś w Paryżu barmanem i można go spotkać w nocnych lokalach, robiącego klientom cocktaile. Słynny Primo Carnera, który w ciągu ostatnich kilku lat nie przestaje schodzić z kronik sportowych pism, rozgrywając rekordową ilość spotkań, zarobił na boksie około 20 miljonów franków. Z pie-



Zbyszko Cyganiewicz walczy z Gerstmansem o mistrzostwo Europy.

Na prawo: Entuzjazm miłośników boksu dochodzi do zenitu w chwili ogłoszenia zwycięstwa.



niędzy tych nie pozostało mu jednego centima. Wprost przeciwnie, nad Carnerą piętrzą się olbrzymie długi i z zasady na dochód z jego meczu kładzie zgóry rękę komornik. Carnera nie mogąc dać sobie ostatnio rady z długami, zgłosił się na ochotnika do armji włoskiej, która walczy w Abisynji, sądząc, iż na wojnie znajdzie wreszcie spokój przed wierzycielami. Zgłoszenie to nie zostało jednak przyjęte przez Mussoliniego i Carnera udał się do Ameryki, gdzie go czekają nowe walki.

Były mistrz świata Max Baer, zwany inaczej „pięknym Maksem", występował nawet w szeregu filmów amerykańskich. Zarobił on na swych walkach i filmach około 3 miljony dolarów. Max Baer nie mając obecnie z czego żyć, udał się na fermę swego ojca, ażeby tam przemyślać nad swą minioną karjerą boksera-aktora.

Przejdźmy do walk „catch-as, catch-can", które zaczęły ostatnio wywoływać na zachodzie Europy i w Ameryce nie mniejsze od boksu zainteresowanie. Wśród zapaśników panuje tu niebywała nędza. Bardzo często nie mają oni pieniędzy na życie. Zbyszko Władek Cyganiewicz, który bawi obecnie w Europie, musiał w 45-tym roku życia przepłynąć ocean i szukać przeciwników na ringach europejskich, mimo, iż walki przyniosły mu 3 miljony dolarów.

W sporcie zawodowym panuje istne niewolnictwo. Menager, który posiada kilku bokserów czy zapaśników, jest ich absolutnym panem. Ci ostatni są z zasady bardzo kiepskimi businessmanami i zawsze bywają „nabrani" przez swych opiekunów.

Weźmy tu naprzykład jednego z najbardziej dochodowych i najgłośniejszych bokserów świata Maxa Baera. Pierwszy jego menager, Loriner, posiadał 50 proc. dochodu ze wszystkich jego walk. Loriner pewnego dnia potrzebował jednak pieniędzy i ogłosił w pismach, iż sprzedaje pół udziału z Max Baerem. Połakomił się na to niejaki Ancil Hoffman. Treningi boksera pochłaniają olbrzymie pieniądze i dla związania końca z końcem Max Baer musiał jeszcze sprzedać 10 proc. z dochodu ze swych walk rodzonemu ojcu. Peiniądze te nie starczyły mu jednak na długo. Zmuszony został jeszcze do odstąpienia dalszych 15 proc., tak, że w rezultacie Max Baer otrzymywał ze swych walk tylko 25 proc., resztę inkasowali jego menagerzy. Pośrednicy, treningi i kobietki zabierały resztę, tak, że za walkę z Joe Louisem, która mu powinna przynieść na czysto 780.000 dolarów, włączając w to dodatkowy dochód z radja, od firm reklamowych, kina etc. Max Baer otrzymał zaledwie 30.000 dolarów.

W boksie mamy do czynienia głównie z niebywałym wyzyskiem zawodników. Znacznie gorsza sytuacja panuje jednak w walkach wolno-amerykańskich. Tam menagerzy i właściciele ringów są istnymi panami zapaśników. Jeśli przeciw tej niewoli ktoś się zbuntuje, zamknięte przed nim zostają wszystkie ringi, gdyż właściciele ich we własnym interesie wzajemnie się popierają. W Ameryce walki zapaśnicze zostały zmonopolizowane przez trzy trusty, które kontrolują ringi. Każda walka, jaka się tam rozgrywa jest sprytnie wyreżyserowanem przedstawieniem. Zgóry jest wiadomem, kto ma wygrać i po upływie jakiego czasu.

Zazwyczaj managerzy wyszukują sobie młodego zapaśnika, który ma wszelkie zalety podobania się publiczności, lansują go następnie na rozmaitych ringach, każąc przegrywać jego przeciwnikom. Przed niedawnym czasem w Ameryce głośno było o młodym Węgrze Sandorze Szabo. Miał on walczyć w Nowym Yorku a przeciwnik jego Pojella miał mu ustąpić laurów. Pojella w ferworze walki zapomniał jednak o otrzymanem poleceniu i zbił Węgra na kwaśne jabłko. Organizatorzy wpadli w niebywałą wściekłość, gdyż wydrukowane były już olbrzymie afisze, reklamujące walkę „zwycięzcy" Pojelli — Sandora Szabo z Jim Londosem.

Pojella otrzymał od publiczności nazwę „uczciwego zapaśnika" lecz to było wszystko. Jednocześnie zamknięto przed nim wszystkie ringi. Pojechał on do Europy, lecz nie zarobiwszy tam fortuny, wrócił do Ameryki, gdzie się stał sam managerem.

Najbardziej aktualną jest tu obecnie walka z Cyganiewiczem, prowadzona przez francuskich organizatorów. Domagają się oni od naszego zapaśnika, ażeby podporządkował się ich wskazówkom. Inaczej mówiąc, żądają oni od Cyganiewicza, ażeby w razie potrzeby przegrał jedną lub nawet więcej walk. Cyganiewicz na to nie chce się zgodzić i w rezultacie wszystkie ringi francuskie, nad któremi rozciąga absolutną władzę niejaki Paoli, nie pozwalają Polakowi na nich wystąpić. Ów Paoli zatrudnia niejakiego Deglana, z którego zrobił „najsilniejszego" zapaśnika świata. Deglane nie walczy jednak poza Francją, a w kraju nikt nie ma prawa z nim wygrać. Zastrzeżone jest to w kontrakcie i gdyby ktoś na to sobie pozwolił, podobnemu śmiałkowi niepozwolonoby już później na stoczenie żadnej walki we Francji. Cyganiewicz walczył z Deglanem już trzykrotnie w Ameryce, jeszcze gdy ten ostatni był w lepszej, niż obecnie formie. Rodak nasz zwyciężał przeciwnika swego bez najmniejszego trudu.

Cyganiewicz chcąc zmusić Deglane do walki w Paryżu rzucał mu wyzwania z tem, iż cały dochód przeznacza na jakikolwiek cel dobroczynny francuski. Był on gotów wyłożyć nawet ze swej szkatuły 10.000 fr. dla Deglana, jeśli zwycięży. Wszystko jednak napróżno. Deglane, który nie przegrał w ostatnich trzech latach dla wymienionych tu powodów ani jednej walki, jest we Francji uważany niemal za półboga. Proszę jednak nie myśleć, iż zarabia on na tem dużo pieniędzy. Wstęp na jakąkolwiek jego walkę kosztuje w Paryżu przeciętnie 20 złotych! Jeden wieczór przynosi najskromniej organizatorom około 100.000 zł. dochodu, z czego połowę biorą organizatorzy, 25 proc. zabierają ci, którzy prowadzili reklamę. Resztą dzielą się między sobą zapaśnicy, których zazwyczaj jest kilku.

Ostatnio odbył się w Brukseli mecz o mistrzostwo Europy w walce wolno-amerykańskiej pomiędzy Gerstmansem i Cyganiewiczem. Spotkanie to wygrał Polak. W Paryżu rozegrano niemal jednocześnie konkurencyjne spotkanie o mistrzostwo Europy pomiędzy Deglanem i Rosjaninem Kola Kwarianim. Wygrał rzecz oczywista, Deglane. Tak, że dziś mamy mistrza Europy Cyganiewicza z tytułem na Belgję i mistrza Europy Deglane z tytułem na Francję.

W roku ubiegłym walczył w Brukseli zniemczony Polak Pinecki. Wiadomem było, iż dla wzbudzenia zainteresowania, Pinecki z każdym przeciwnikiem — pierwszą walkę wygra, a następnie dwie przegra. Tak też się stało. Belgowie, którzy byli od niego znacznie lepsi, dali się Pineckiemu położyć, by tem samem na rewanż ściągnąć większą liczbę publiczności.

Czytamy obecnie w pismach polskich, iż olbrzym śląski Leon Grabowski, który mierzy 2.20 m., przebywa w Londynie, gdzie trenuje boks pod kierunkiem słynnego Larry Gainsa. Dziennikarze londyńscy widzą w nim nawet przyszłego przeciwnika słynnego murzyna Joe Louisa. Lecz Leon Grabowski został już „sprzedany".

Hajot.



Olbrzym Leon Grabowski podnosi jedną ręką znanego boksera angielskiego Larry Gainsa.

GWIAZDKA Z AMERYKAŃSKIEJ FARMY.

Milutka Anne Shirley gra w jednym z filmów rolę młodej farmerki, hodującej wspaniałe okazy indyków, które jak





Fjołek EUROPY



Przeczytałem kilka dzienników i wpadłem w silną depresję. Więc znowu wojna, niepokoje, inflacja, stagnacja, racja stanu i nędza! W pamięci począłem szukać zakątka Europy, gdzieby było lepiej, ciszej, spokojniej. Wnet w oczach stanęła mi mapa starego lądu, która podczas wojny światowej uderzała dwoma jedynie kolorami: państwa centralne i państwa Ententy. Tu i ówdzie zaledwie czaił się jakiś punkcik jaśniejszy: państwo neutralne. Te miejsca „niezglajchszaltowane" to kraje, gdzie wojna nie dotarła. Holandja, Hiszpanja, Danja i przysłowiowo neutralna i spokojna Szwajcarja. — A obok niej...



Oto widok ogólny stolicy księstwa, Vaduz.

Almanach Gotajski, podręcznik każdego człowieka, mającego styczność z dyplomacją, high-life'm, czy poprostu ciekawego statystyki, podaje: „Księstwo Liechtenstein, monarchja konstytucyjna, dziedziczna w męskiej linji domu panującego, istnieje od r. 1719. Od r. 1852 pozostawała z Austrją w unji celnej, od r. 1923 posiada unję celną z Szwajcarją. Konstytucja z r. 1862, nowo opracowana w 1921". Rubryka „dane statystyczne" zajmuje zaledwie dziesięć wierszy: „Powierzchnia: 159 km. kwadr., ludność (1930) 10.213, stolica Vaduz — 1715 mieszk.". Dowiadujemy się również, że dziwny ten kraj ma tyleż dochodów co wydatków, a nawet zostaje kilkaset franków nadwyżki. Dług tylko 4 miljony franków.

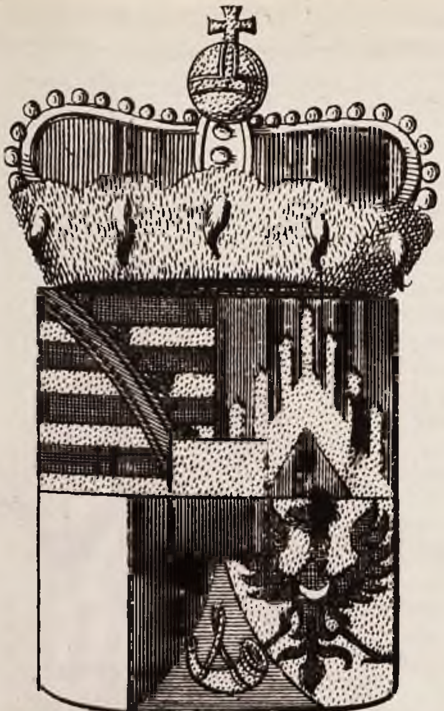
W Alpach austrjackich, łączących Austrję z Szwajcarją w jeden teren z geograficznego punktu widzenia, skryło się księstewko, jak mizantrop, który dosyć ma gwaru świata, dosyć kłótni i zawiści i chce w ciszy pędzić spokojny żywot człowieka poczciwego. Góry są wysokie, zimą ośnieżone, w lecie igra na nich promień słońca. Na jednej z nich stoi zamek, górujący nad stolicą Vaduz, która jak się powiedziało, ma 1715 mieszkańców, dwa pisma, jedno konserwatywne „Liechtensteiner Volksblatt", wychodzące trzy razy tygodniowo, drugie demokratyczne Liechtensteiner Nachrichten" wychodzące tylko dwa razy tygodniowo, poza tem kilka wcale porządnych restauracyj, w staroniemieckim, małomiasteczkowym stylu, ma jakiś hotel, ma poważnych kupców, rzemieślników i „elitę" rządzącą! Piętnastu panów tworzy parlament, a w imieniu księcia Franciszka I. rządzi namiestnik przy pomocy dostojników, których mimo wszystko, nazwać musimy ministrami! Czy w stolicy księstwa Liechtenstein są stałe dancingi i czy auta, Paccardy, Rolls-royce'y i inne, mkną ulicami stolicy — nie mogę stwierdzić. Przypuszczam jednak, że raczej... nie!

Skąd się wziął ten fjołek Europy, tak skromnie zaszyty w cieniu gór i zakonspirowany między Szwajcarją a Austrją? Jakim cudem ostał się w burzach ostatnich czasów, jakim sposobem ocalała jego „suwerenność"? Podobnie jak wśród ludzi, tak i wśród państw czasem poprostu zapomina się o zbyt małej i drobnej jednostce. Myszka przysiadła pod miotłą w hałaśliwym domu babci Europy.

Dzisiaj tak bardzo zjednoczona i „zglajchszaltowana" Rzesza niemiecka, przedstawiała do końca XVIII wieku obraz nadwyraz różnorodny i podzielona była na niezliczone księstewka, hrabstwa, suwerenne biskupstwa, nie mówiąc już o elektoratach. Były terytorja duże jak np. królestwo pruskie, elektorat bawarski, saski, moguncki, były księstwa większe, jak Wirtembergja, Meklemburgja, Baden, ale były też drobniutkie hrabstwa, które tworzyły kolegja, wysyłające na sejm Rzeszy w Regensburgu swych przedstawicieli. Takie kolegja hrabstw istniały w Szwabji, Frankonji itd. Zajęcie przez Napoleona I. w r. 1803 prawego brzegu Renu, upadek Cesarstwa Rzymskiego w r. 1804, przy jednoczesnem ogłoszeniu cesarstwa austrjackiego, następnie rozrost Prus przez wojnę 1866 r. i wiele innych jeszcze okoliczności politycznych, spowodowało, że na terenie Rzeszy już tylko duże, a conajmniej większe państwa mogły się ostać, wchłaniając równocześnie najbliżej położone drobne terytorja. Tak zniknęły z powierzchni karty geograficznej różne księstewka i hrabstwa, które nieraz posiadały jedynie po kilka tysięcy mieszkańców. Nosiły one zazwyczaj nazwisko rodziny

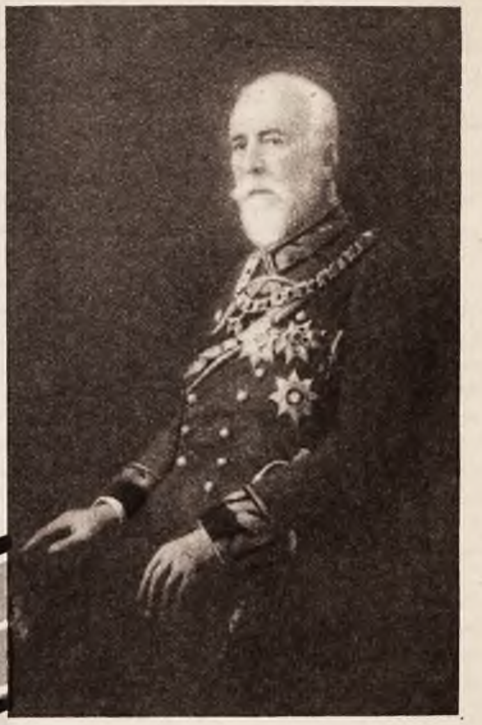
Kolebką książąt Liechtenstein jest gotycki zamek położony w Dolnej Austrji, który ma za sobą piękną, rycerską przeszłość.





Herb księstwa Liechtenstein według sztychu z XVIII wieku.

panującej, będąc jej kolebką, bądź też otrzymawszy tę nazwę z nadania rzymskiego cesarza. Tak zniknęły księstwa Salm, Schönburg, Ysenburg, Löwenstein, Bentheim, Hohenlohe i inne, oraz hrabstwa Neipperg, Leiningen, Castell, Quadt-Wykradt-Isny, Waldbott itd. Większość z nich były poprostu dobrami ziemskiemi danej rodziny, podlegającemi jej również pod względem politycznym, dziwna kombinacja prawa prywatnego z prawem państwowem. Posiadały one swe własne władze, dwory panujących, podlegając znów w innych dziedzinach innym państwom, jak np. pod względem sądownictwa itd. Najwięcej tych lilipucich państewek było w krajach turyngskich i szwabskich oraz westfalskich. Nie bez słuszności też magnaci nasi urągali wspaniałościom niemieckich „suwerenów", gdyż niejeden z kresowych, a nawet mazowieckich czy małopolskich panów miał daleko większe dobra, niż owe księstwa. Wystarczy przypomnieć Szczęsnego Potockiego, posiadającego 500 tys. ha na Ukrainie!



Jednem z takich państewek, tworzonych hojną ręką cesarza rzymskiego było księstwo Liechtenstein, nabyte przez tych książąt w r. 1699, a składające się z dwóch kompleksów dóbr: Vaduz i Schellenberg. Liechtensteinowie, pochodzący z zamku tegoż nazwiska w Austrji, wzbogacili się znacznie na Morawach, gdzie po dziś dzień posiadają dobra Kromau, Wielki Ullersdorf, Ostrau itd. Zostali książętami na księstwie Troppau w r. 1613, na Jägerndorf 1623, wkońcu na Kromau 1633, a kupiwszy klucze Vaduz i Schellenberg otrzymali dla nich tytuł księstwa Liechtenstein i do dziś pozostają ich suwerenami. Jest to więc ostatnia wysepka dawnych stosunków ustrojowych w Rzeszy niemieckiej, ostatnie państewko rządzone tak, jak się gospodaruje na własnym folwarku. Lecz jest to tylko jeden z mniejszych folwarków bogatego domu Liechtensteinów. Poza wspaniałym pałacem w Wiedniu z sławnemi zbiorami przedmiotów sztuk Liechtensteinowie zatrzymali swe dobra rozsiane po Morawach, Węgrzech i Austrji i mogą finansować z prywatnej szkatuły budżet księstwa, któremu się z tego powodu nieźle wiedzie. Od r. 1858 państewkiem rządzą kawalerowie: poprzedni książe Jan II. zmarł bezżenny w roku 1929, nastąpił po nim brat jego ks. Franciszek, który dopiero ostatnio się ożenił. Był on poprzednio ambasadorem austrjackim, a przez matkę hr. Franciszkę Kinsky von Wchinitz und Tettau, jest kuzynem naszego księcia Pepi, również przez matkę z Kinskych pochodzącego. Liechtensteinowie oddawna służą w wojsku austrjackiem (ks. Jan Józef walczył pod Novi, Austerlitz), i w dyplomacji tego kraju, pozatem znani są jako wielcy znawcy sztuk pięknych i hojni mecenasi.

W epoce wielkich zmian politycznych, kiedy ostatecznie chciano na Kongresie Wiedeńskim „uporządkować" Europę, również i Liechtenstein miał być tematem obrad. Ale, jak to bywa w takich razach, objekt był zbyt drobny, a zresztą wylądowanie Napoleona na ziemi francuskiej, rozproszył debatujących dyplomatów. Machnięto poprostu ręką i dzięki temu Liechtenstein pozostał na karcie Europy.

Samo istnienie mikroskopijnego księstewka nasuwa ciekawe reminiscencje historyczne i niemniej ciekawe refleksje. W jednym z listów pisanych do przyjaciół znany z wytworności i dowcipu książę Karol de Ligne wspomina o uroczystościach, jakie poddani w jego posiadłościach w Westfalji zgotowali mu z okazji przyjazdu. Bywalec europejski z właściwą sobie ironją wspomina o swem operetkowem państewku i swej roli suwerena, jaką przyszło mu grać. Że też i inni książęta i hrabiowie suwerenni podobnie na swoje kraje zapatrywać się musieli, mamy na to dość dowodów. Niektóre z tych państewek niemieckich przetrwały aż do roku 1918, zlewając się następnie w jedną całość niemiecką, nie rozbitą granicami, które narzuciły im lokalne tradycje i antagonizmy.



U góry na prawo: Obecnie panujący książę Franciszek von und zu Liechtenstein.

Poniżej: Zamek Vaduz króluje nad stolicą księstwa, położoną w wąwozie.

W dzisiejszej hałaśliwej Europie, pełnej sensacyjnych, niepokojących wieści, mały kraik niemiecki przypomina jakąś krainę sztucznie stworzoną w czasach pasterek i zakochanych Filonów, kiedy nawet królowa francuska Marja Antonina wraz ze swemi damami dworu w Małym Trianon pędziła pastelowy żywot na łonie natury, zdala od gwaru stolicy i repreznatcji dworu. Idąc uliczkami Vaduz ma się wrażenie jakby państewko to stworzone zostało według recepty Jana Jakóba Rousseau, który szczęście ludzkości upatrywał w tem, aby każdy szanował prawa swego bliźniego.

W Księstwie Liechtenstein nic się nie dzieje... A to co się dzieje poza niem, nikogo nie obchodzi. Dlatego też gazety wychodzą dwa razy na tydzień. Poddani Jego Książęcej Mości, Franciszka księcia von und zu Liechtenstein zawsze na czas się dowiedzą o kłopotach, które trapią inne kraje, gdy u nich jest spokojnie i cicho, jakby makiem zasiał...

Wobec bardzo komplikujących się stosunków politycznych, pewien mąż stanu wysunął projekt stworzenia nowej, minjaturowej Ligi Narodów, do której przystąpiłyby tylko te państwa, które mogą się wykazać, iż ludność ich nie przekracza 10.000 obywateli. A więc członkami stałaby się Andorra, Monaco, San Marino i Liechtenstein. Si non e vero e ben trovato! Przypuszczać należy, że tego rodzaju organizacja byłaby bezwątpienia spokojniejsza od Ligi Narodów w wydaniu mocarstwowem.

Jan Malesz wski.

POLO

sport high-life'u

Aldous Huxley w swojej książce z podróży naokoło świata, o tytule „Drwiący Piłat", wspomina o pewnym perskim dywanie, widzianym w Idjach. Dywan ten przedstawiał zabawę królów perskich, zwaną „patrzenie w chmury". Nieskomplikowana ta zabawa polegała na tem, że ułożony wygodnie na dachu swego pałacu, władca Państwa Srebrnego Lwa, patrzył na grę obłoków w przestworzach niebieskich, przy akompanjamencie fletów albo recytacji wierszy poety Firdusiego.

Jeżeli ten rodzaj rozrywki nie wymaga poza szczęśliwemi warunkami meteorologicznemi specjalnej zaprawy ani kosztownych inwestycyj, to sporty, uprawiane przez tychże perskich królów, są mało dostępne dla przeciętnego mieszkańca naszych krajów. Są to przeważnie sporty konne, które mogły rozwinąć się jedynie w kraju, sąsiadującym z jednej strony z Mezopotamją i Arabią, ze szczepami konnych Beduinów, z drugiej z Turkiestanem kolebką koczowniczych plemion, których życia trudno sobie wyobrazić bez konia.

Więc w pierwszym rzędzie polowanie konno z lancą. Dostarcza ono wiele emocyj. Ten rodzaj polowania przyjął się w Indjach, które tak w sztuce jak w zwyczajach były pod ogromnym wpływem Persji. Polowanie z konia na pręgowanego króla dżungli w bagnach Pendżabu czy moczarach, wśród rozlewisk Indusu było zawsze emocją szlachetnych Kszatrjów. Nowi zdobywcy, Anglicy, przejęli ten zwyczaj. Do atrakcji sezonu należy zawsze polowanie z lancą na małego ale groźnego, o ogromnych szablach, dzika indyjskiego. Galop przez kryjące jeźdźca z głową trawy dżungli z ostrzem bambusowej lancy, mierzącem w grzbiet uciekającego dzika, nie pozbawiony jest dreszczyka emocji. Wśród ułanów bengalskich pościg za rozbitym po szarży przeciwnikiem, nazywa się „zabawą w kłutą świnkę".

Ale prawdziwie królewskim sportem jest gra w polo. Dwie drużyny po czterech jeźdźców w każdej, usiłują wpędzić przy pomocy drewnianych młotków o długich na 1.30 m. rękojeściach, drewnianą kulę w bramkę przeciwnika. Zważywszy, że dzieje się to na boisku o dużej powierzchni (250 na 300 m), stale w galopie, przy ciągłych zderzeniach i nagłych zwrotach, daje to ogromnie interesujące widowisko dla widza, a jest egzaminem dla jeźdźca i gracza. Dosiada się do tej gry koni o niewysokiej mierze, rasy t. zw. „pony". Są one tresowane specjalnie do tej gry i zupełnie serjo biorą w niej udział z zapałem prawdziwych sportowców.

Jasnem jest, że sport ten staje się bardzo ekskluzywnym spowodu kosztownych akcesoryj. — Więc przedewszystkiem konie specjalnie utrzymane do gry, treningi, zabierające dużo czasu, wyszukane boiska-trawniki. Nosi się do gry białe koszule, mały kask korkowy, spodnie specjalnego fasonu, t. zw. „jodphur".

Prawidła gry są skomplikowane. Gra się na czas albo na określoną ilość punktów-bramek, którymi jest przepchanie kuli między dwoma słupami w odległości 7.5 m rozmieszczonemi.

Każdy szanujący się pułk kawalerji angielskiej ma swoją drużynę polo, każdy garnizon w Indjach i Metropolji marzył o laurach pierwszeństwa.



Kobiety nie ustępują mężczyznom w zręczności przy grze w polo.



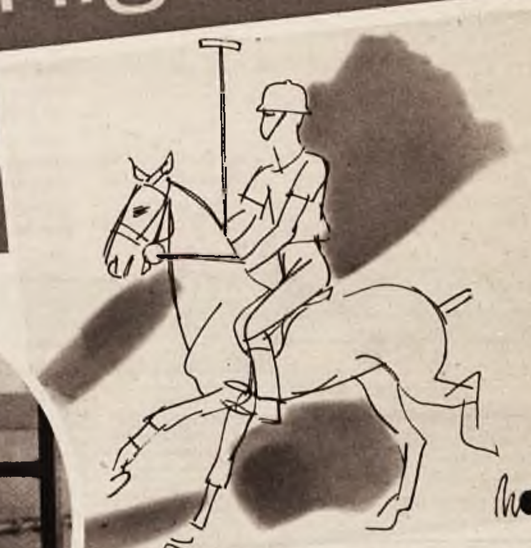
Powyżej: Boisko gry w polo w Paryżu, na którem rozegrały się niejedne ciekawe zawody. — Na prawo: Cały high life poświęca grze w polo dużo zainteresowania.

Rysunki Zygmunt Haupt.



Douglas jest znanym graczem w polo, to też rzymski Polo Club zalicza go do swych członków.

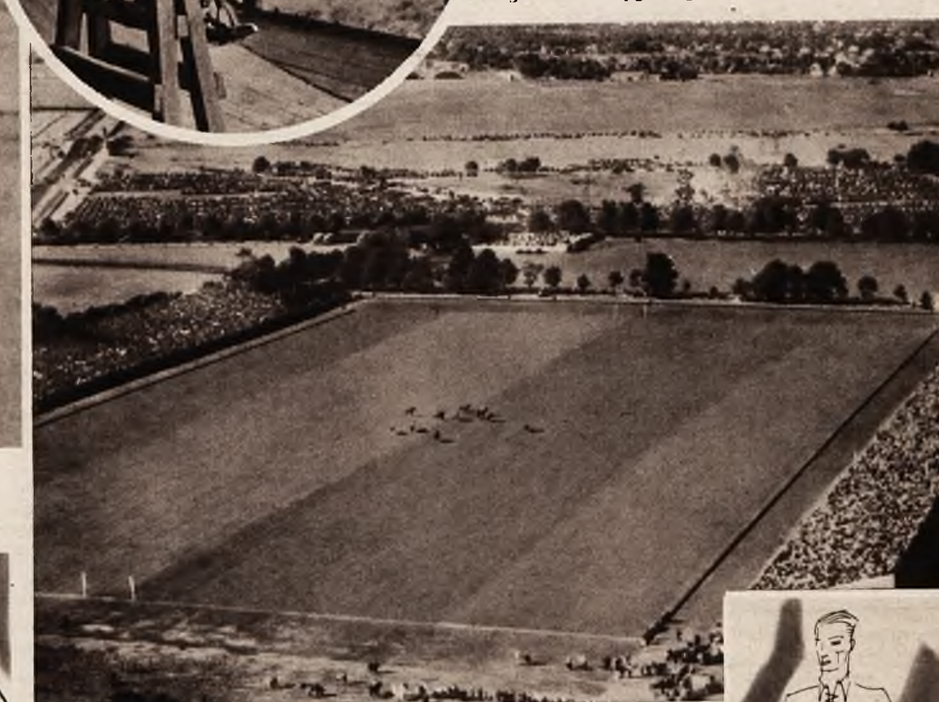
Na prawo: Sylwetka gracza w polo odznacza się specjalnym „szykiem" sportowym.



Poniżej: Słynny angielski gracz w polo A. J. Trill „trenuje" na specjalnie skonstruowanym drewnianym koniu.



Poniżej: Oto ogólny widok terenu golfowego w Neadewbrock na Long Island, gdzie w r. 1930 walczyły wyborowe ekipy Anglji i Stanów Zjednoczonych.





Najarystokratyczniejszy klub angielski w Hurlingham w poczet członków liczy zawsze księcia Walji.

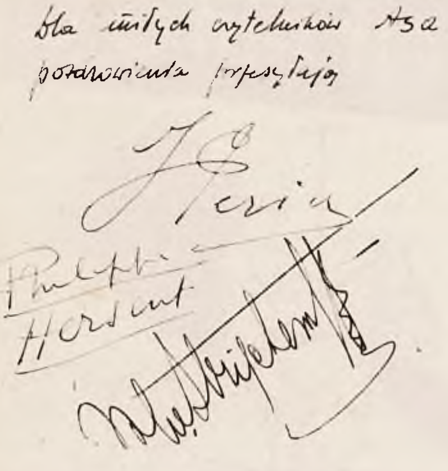
Na kontynencie sport ten ma coraz więcej zwolenników, Francja, Niemcy, Włochy liczą coraz więcej klubów. Zagraniczne „kurorty" i plaże nie zaniedbują nadmieniać w reklamach: „tereny do polo". U nas w Polsce istnieje jedyny klub polo w Warszawie. Miejmy nadzieję, że w kraju naszym, gdzie koń i jeździectwo zawsze było z zamiłowaniem pielęgnowane, znajdzie w przyszłości ten sport zrozumienie i entuzjazm.

Zygm. Haupt.

Na prawo: Oto idealna sylwetka gracza w polo.



GWIAZDY W WILNIE



Oto autografy francuskich artystów, którzy „nakręcali“ film na Wileńszczyźnie: Jean Périer, Filipa Hersent i Włodzimierza Stryżewskiego.



Znany artysta filmowy, Jean Murat, jest jednym z najbardziej uroczych gwiazdorów ekranu.

Sensacja pęczniała z dnia na dzień, z chwili na chwilę. Plotki rosły na podatnym gruncie. „Wiecie, podobno Paul Whiteman przyjechał — mówiono. Francuzi sprowadzili cały własny pociąg. Szukają statystów“.

Przed hotelem George'a większe niż zazwyczaj zbiorowisko. Panienki, uczenice, lowelasi czekają aż się ukaże któraś z gwiazd. Obrazek zwykły, gdy na prowincję zjeżdżają gwiazdy. A do tego gwiazdy tak egzotyczne: Czechowa, Marie Glory, Jean Murat. W hallu hotelowym gwarno i rojno. Wykwintne, wyszukane perfumy gwiazd i gwiazdorów mieszają się z dymem dobrego tytoniu. Podlotki, uczenice wyciągają ręce z albumami. Niema prośba o autograf. Zresztą aktorzy są przyzwyczajeni do tego widoku, rozumieją to bez słowa. Z napół przyjemnym, napół znudzonym uśmiechem między jednem a drugiem zdaniem, stawiają kilka kresek na różowej czy liljowej karcie panieńskiego albumu. Radość i uciecha w oczach dziewczęcia, nieśmiałe, stłumione „merci“ z nadmiaru wzruszeń. Szukają reżysera, inspicjenta, innych jeszcze członków ekspedycji, dochodzą do dekoratora, mechanika, pomocników którzy wyładowują skrzynie z materjałem filmowym, gubią się — jedyną orjentacją jest język — byleby ten ktoś nie mówił po polsku.

Reżyser rozmawia z dostawcami. W jednej ręce trzyma but wysoki, „bojarski“ — obok mały szewczyna teatralny czeka na decyzję. Uniżoność i bojaźń w oczach rzemieślnika. Dalej stoją ekspedytorzy, mają właśnie nazajutrz załatwić formalności celne, związane z przewozem aparatur i taśmy, za nimi znów krawcy, kuśnierze (oryginalne „szuby“ długie kożuchy rosyjskie szyje się na miescu); na uboczu attaché turystyczny Orbisu czeka na zlecenia, umawia się z szoferami. Rozstrzelone pytania, rozstrzelone odpowiedzi niezawsze trafiają pod właściwy adres. Francuski miesza się z rosyjskim, niemiecki z polskim. Prawdziwy świat filmu — nowa wieża Babel. Ale porozumieć się nietrudno. Atutem najważniejszym i dostępnym dla wszystkich to suma wymieniona w złotych. Krótka chwila zastanowienia (tłumaczenie na franki), krótki targ i interes ubity. Szewc przyniesie kilkanaście par wysokich, za kolana, butów, krawcy ubrania, kuśnierze szuby ekspedytorzy załatwią cło, kapelusznicy, posłańcy — wszystko załatwione.

Ale niezawsze. Mała sumka w złotych stała się powodem nieporozumienia. Francuzi nie liczą się z groszem. Wyciągają garściami bilon i płacą bez orjentacji. Jean Murat daje dwie dwuzłotówki, mając zapłacić 1.60 zł., inni podobnie. Ale nie mogą ścierpieć naciągania. Kapelusznik zażądał 5 zł. za odprasowanie kapelusza. Jean Périer, właściciel kapelusza „en question“, stary aktor z „Comédie Française“ z wstążeczką Legji w klapie, oburza się. Ha! trudno, ma rację. Normalnie nie śmianoby wziąć za to więcej, niż dwa zł. A potem Francuzi będą rozpowiadać, że się w Polsce naciąga. Niemiły incydent!

Przyglądamy się zespołowi. Jean Murat, bliższy i sympatyczniejszy na żywo niż „w cieniu“, Olga Czechowa, piękna, wytworna, Marie Glory zawsze żywa, gestykulująca, krzykliwa, prawdziwa Francuzeczka. Jean Périer, pół-baron, pół-aktor w towarzystwie przezywany „vicomte“, młody, przystojny Philippe Hersent, który kręci trzeci swój film, szef ekipy reżyser Włodzimierz Stryżewski, pan Jaques, Morose, jeszcze jeden pół Rumun, pół Rosjanin itd. Kto tam zresztą prawdy i pochodzenia dojdzie!

Narzuca się tu spostrzeżenie, dokonane przez jeden z dzienników paryskich „Le Jour“. Reżyser — Niemiec, operator — Czech, dekorator — Anglik, muzyk — Rosjanin, finansista — Rumun, a wszystko razem nazywa się: film francuski. Niemało w tem racji. Wymienione nazwiska członków ekspedycji „Production Sterman“ mówią same za siebie. Nieliczni Francuzi przyznają mi, że w filmie francuskim pracuje dużo obcych twarzy, zwłaszcza Rosjanie mają tu wiele po p wiedzenia.

A jednak śmiem twierdzić, że to film francuski. Francuzi potrafili naświetlić swym duchem wszystkich ex-„metejues'ów“; dziś francuskość ich jest już niewątpliwa. Wszystko owiewa przysłowiowe „esprit“, lekkość, ton górny, bałagan artystyczny itp. itd. Większość Rosjan, członków ekspedycji stwierdza (a może udaje), że Wilno jest niezmiernie egzotyczne, że podobne miasto to wogóle coś rzadkiego, niespotykanego. — Oto co zdziałać może Francja, Paryż i odległość ok. 2.000 km.

Po cichu jednak Olga Czechowa wymyka się na nabożeństwo do cerkwi, różni panowie o nieco egzotycznem we Francji brzmieniu nazwiska rozmawiają po rosyjsku z portjerami, z różnymi „szarymi“ ludźmi, którzy przyszli odwiedzić swych „bywszych kompatriot'ów“. — To resztki kolonji rosyjskiej, „bywszy ludzie“.

Siedzimy przy coctail'u (i on międzynarodowy), rozmawiamy. Szereg zdawkowych pytań o wrażenia odniesione, o podróży, o Polskę, Warszawę, Wilno, ine dzielnice kraju. Pytania stereotypowe i stereotypowe, grzeczne odpowiedzi. Wszyscy aktorzy-gwiazdy mają sztucznie ożywione twarze, przylepione uśmiechy. Mówią to, co już nieraz niejednemu dziennikarzowi powiedzieli w podobych okolicznościach. A więc komplementy „seryjne“: Wilno piękne miasto, bardzo interesujące zarówno w folklorze, jak i architekturze, ludzie niezwykle mili i uprzejmi. Ale jedno nie jest po ich myśli — spodziewali się zastać dużo śniegu, „bardzo mnóstwo“ jakby powiedzieli po polsku, a zastali taki stan rzeczy, że można jechać łodziami w naszej Wenecji północy. (Znów ten nieszczęsny PIM wszystkiemu jest winien).

I rozmowa toczy się dalej — urywana, napoły wesoła, napoły zdawkowa. Aktorzy pamiętają: prasa, ostrożnie! Nie wolno się odbronzawiać przed publicznością. Towarzystwo rozdziela się na małe grupki. Rozmawiam z przedstawicielkami płci pięknej. Marie Glory, wciąż żywo gestykulując, powiada, że spodziewała się widzieć małe miasteczko. To, co ujrzała, jest zamało egzotyczne... zbyt zbliżone do Zachodu. Madame Czechowa podziela zdanie towarzyszki, dla niej jest polska stanowczo zamało egzotyczna. „Mais c'est gentille“ — dodaje.

Chwytam urywki rozmowy innych członków towarzystwa. Rozpytuję się Czechową o rodzinę, o pracę. Wyrwała się z rąk Billona, u którego gra teraz, za dwa tygodnie wraca, potem znów ma kontrakt na Wiedeń i t. d., sypią się nazwy, daty. Pytają znów Jean Murata o jego córeczkę, czy ma 9 miesięcy czy też lat. Zagadnięty odpowiada z uśmiechem, że wcale nie ma dzieci; to pewnie mowa o dziecku żony, Annabeli, które pochodzi z innego małżeństwa i ma... 6 lat. Różne plotki, ploteczki o Pauley'u „grubym a sprośnym“, niczem Marchołt, o Annabeli, która bawi w Anglji i studjuje angielski na uniwersytecie w Oxford.

W międzyczasie panie opowiadają zabawną przygodę „vicomte“ Périera w Warszawie. „Vicomte“ pomylił się trochę w geografji, sądził, że będą nakręcać film rosyjski w... Rosji, a Rosja to kraj kawioru. Więc chodzi po ulicach i szuka lokalu, gdzieby się można najeść dosyta tego smakołyku. Spostrzega napis „kawiarnia“ — więc chyba lokal, gdzie się podaje „caviare“! Zażądał i podano go. Podawano tak długo, aż rachunek wyniósł... 250 zł.

Zbliżyłem się do Murata. Milszy, sympatyczniejszy, jakoś mniej „władczy“ niż na filmie, bliski i bezpośredni, a przytem wywiera jakiś swoisty urok. Siedliśmy w kącie. Pytam o niego, żonę, jakie filmy nakręcają, o produkcję filmową francuską, o wrażenia, jakie na nim wywarł trzydniowy pobyt w Polsce.

Jean Murat odpowiada cicho, skromnie. Skromnie i mimochodem mówi, że był tu i ówdzie, widział cośniecoś — więc materjał



porównawczy jest dość bogaty. Na tem tle szczególnie miło było usłyszeć, że Stare Miasto ze swym Rynkiem (w Warszawie) wywarły na nim szczególne wrażenie. — „Toć to — powiada — perła, zazdrośnie ukrywana. Zagranicą nie słychać wcale o tem zjawisku". W ciągu jednego dnia zwiedził kilka kościołów wileńskich, ghetto oryginalne i ciekawe, zachowane w stylu. Pytam jeszcze o inne okolice, czy je zwiedzi. Kraków piękny i stary...

— „Niestety, czas mi nie pozwala, tymczasem, a pragnąłbym bardzo. Słyszałem dość wiele o Karpatach i Tatrach, no, ale cóż — mając kilkanaście dni wolnych, nie mogę tracić na podróże 4 do 5 dni. Odstrasza mnie przedewszystkiem odległość, a potem brak odpowiednich udogodnień turystycznych, ulg i t. d." — kończy swe uwagi szczerze. Rozpoczynamy dyskusję, każdy broni swoich tez. Murat śmieje się trochę z moich poglądów o Francuzach.

— Pan sądzi — powiada — że to zatabaczeni wąsacze i brodacze. Nie, to dawno minęło, to przesąd tylko!

Zbliża się Marie Glory i szczerze, poprostu, bardzo po kobiecemu oświadcza się mimowoli za mną.

Ale wszyscy mamy nadzieję, że ta pierwsza ekspedycja filmowa na dużą skalę jest chyba początkiem wymiany wzajemnych serdecznych stosunków. Zapijamy to Martinim. Więc może i prawda?

Mówimy o produkcji, o ostatnich filmach. Murat zdaje sobie sprawę z kryzysu, jaką przeżywa twórczość filmowa francuska. Ale ostatnie dwa lata świadczą o wielkiej poprawie. Cytuje szereg filmów, które zajmą poczesne miejsce w produkcji światowej: nowy film Jacques Feylera (Prix Cisiema) „La veille d'arme", L'Herbier'a, „Deuxième bureau" Billona, ze starszych „Bandera" Duviviera, „Le fantôme" René Clair'a, choć nakręcony w Londynie, jest jednak owocem ducha francuskiego. I proszę mi wierzyć — dodaje z uśmiechem — że nie reklamuję tych filmów dlatego, że występuje w niektórych żona moja, albo ja". Wyraża nadzieję, że teraz wymiana filmowa ruszy z martwego punktu. Sztuka przeważy nad kombinacjami finansistów. Pytam go jeszcze, czy widział jaki film polski. Nie, żadnego. W całej ekipie niema człowieka, któryby widział polski film. Mais, ça n'a pas d'importance!

Na zakończenie reportażu pozostaje mózg ekspedycji, reżyser Włodzimierz Stryżewski (Strischewski). Francuz, Rosjanin z urodzenia (opuścił Rosję w 1918 roku), lat około 40-tu, bystre spojrzenie szarych oczu, twarz, wyrażająca opanowanie i energję. Kilka słów wdzięczności pod adresem władz centralnych i miejscowych, Orbisu, który mu wiele pomógł i zasadnicze pytanie z mojej strony: — „Pourquoi donc avez-vous choisi Wilno?". Reżyser odpowiada prosto, bez patosu — chodziło mu o zimę, o niefałszowany folklor „prawosławny", o prawdziwą „trójkę", prawdziwych chłopów i prawdziwy śnieg i wreszcie atmosferę zbliżoną do prawdziwie rosyjskiej.

— A zatem Wilno ze swemi zabytkami architektonicznemi i kolorytem mają niewiele wspólnego z pańską akcją — stwierdzam.

— Szczerze mówiąc — nie. Ale Wilno uderzyło mnie potężną wymową swego przepięknego baroku. Trudno mi poprostu znaleźć odpowiednik dla tego miasta. Może Monachjum jest zbliżone w wyrazie — mówi z niekłamanym entuzjazmem reżyser.

— A czy to miasto nie zainspirowało Panu jakjejś myśli twórczej?

— Owszem. Posiadam tyle znajomości literatury polskiej, że pragnąłbym nakręcić w Wilnie film według Słowackiego. Jeżeli pertraktacje, które prowadzę, dojdą do skutku, skorzystam jeszcze z mego pobytu i przedłużę go trochę.

— A czy przynajmniej nasi egzotyczni dorożkarze, sanie, Tatarzy, Karaimi posłużą Panu za statystów i rekwizyty w „Trójce"?

— A jakże! Już rozpocząłem poszukiwania statystów. Ale przedewszystkiem chodzi mi o brodatych chłopów-starowierców, no i porządną trójkę koni z saniami. Może Pan pójdzie teraz ze mną na wyścigi „trójek"?— zaprosił uprzejmie.

Podziękowałem za zaproszenie.

— Wolę przyjść jakiegoś dnia na zdjęcia, jeśli Pan pozwoli — odpowiedziałem.

Pan Stryzewski zaprosił mnie na kręcenie. No, zobaczymy! .

Leopold Feygin.

Na lewo: Urocza Olga Czechowa jest jedną z atrakcji nowego filmu francuskiego.



Staropolski dwór stanowi dla publiczności francuskiej niemal równie egzotyczną atrakcję jak dla nas filmy z Dalekiego Wschodu.



Marie Glory, jedna z artystek występujących w filmie „Trójka".



Na lewo: W garderobie artystek panuje nieprawdopodobna różnorodność strojów... i nastrojów!

W SZCZENIĘCYM POKOJU



Oto para „wyrostków“, która się dobrze zapowiada.

Przyznam się otwarcie, że jakkolwiek różni moi znajomi i krewni nieraz zachwalali swoje potomstwo i podnosili je nietylko na rękach, ale nawet pod niebiosa, nie miałem nigdy zbytniego przekonania do małych dzieci. To samo zresztą nastawienie odnosi się też do tego, co z tych małych dzieci wyrasta. Poprostu do ludzi! Jakoś mało znajdowałem takich, którzy mi odpowiadali, przyczem zastrzegam się, że to samo może odnosiło się do mnie z ich punktu widzenia. De bons comptes font de bons amis! Nie należy dopuszczać do nieporozumień.

Ale właściwie to chciałem mówić o pieskach.

Dlaczego właśnie o pieskach? Z tego poprostu powodu, że są, tak długo jak pozostają szczeniętami, niejako poprawniejszem i sympatyczniejszem „wydaniem“ lub parafrazą człowieka. Nie krzyczą, nie wymagają ciągłych zabiegów, nikt nie twierdzi, że są wprost genjalne, nie potrzeba do nich niańki, a później bony, Francuzki, Angielki czy Niemki, a są naprawdę miłe i kochane. I co najważniejsza, można się wczuć w ich psychologję i każdy ich krok daje asumpt do pewnych refleksyj.

Kto kiedykolwiek miał sposobność współżycia z takim czy innym szczeniakiem, obserwować jego rozwijający się „światopogląd“, podglądać jego różne odruchy, wnikać w jego psychologję, ten napewno spędził liczne miłe chwile i starał się zniżyć do mentalności tego stworzenia. Przecież taki szczeniak, jakiejby był rasy, maści i gatunku, a nawet wtedy, gdy wogóle nie należy do żadnej uznanej przez sfery decydujące o czystości rasowej, kategorji, jest przemiłą, żywą zabawką. A co najważniejsze, piesek taki niema tych wszystkich „fochów“, jakie niestety od pierwszego dnia naszego życia aż do ostatniej naszej chwili trzymają się nas, potomków Adama i Ewy. Takie szczenię niczego nie udaje, chyba, że chce zatrzeć za sobą ślady jakiegoś popełnionego przeciwko domowemu savoir-vivre'owi przestępstwa. Ale poza tem kochane to stworzenie bynajmniej się „nie zgrywa“, jak trzeciorzędny aktor, nie stara się wzbudzić w otoczeniu zachwytu nad sobą, ani wmówić w nie, że jest wręcz wyjątkowy!

Jako stary przyjaciel psów, czyli jako ten, który w przyjaźni zeszedł na psy, starałem się podpatrzeć program dnia szczeniaka.

Obudziwszy się po pokrzepiającym śnie, którego żadne złośliwe wizje nie zakłócały, szczeniak siada w swoim koszyczku (gdyż to jest najodpowiedniejsze miejsce pobytu dla przyszłego „Asa“, „Nera“, czy poprostu „Kundel Burego“, i poczyna się rozglądać po pokoju. Widać, że orjentacja jego życiowa i wzrok nie sięgają o wiele dalej jak na kilka kroków, a punktem centralnym tej orjentacji jest oczywiście matka. Spożywszy w jej towarzystwie i przy jej „pomocy“... śniadanie, szczeniak pokrzepiony na ciele i z miną triumfatora, a conajmniej przyszłego laureata psiej wystawy w „Bagateli“ rozpoczyna ruchy rekonesansowe po pokoju. Ileż tam niespodziewanych rzeczy na niego czeka, ileż odkryć przyczaiło się po rogach pokoju, wyglądając psiego Kolumba i ileż zagadnień jeszcze pozostało do rozwiązania! Bardzo dziwna naprzykład jest posadzka — niby zwykłe drzewo, a równocześnie wybitnie przypomina taflę jakiegoś jeziora (nie myślę bynajmniej o tem, co się zwykle zdarza w godzinę po spożyciu śniadania, lecz jest to poprostu porównanie hiperbola). Mały foxterierek ślizga się po posadzce, gdyż nie posiada jeszcze odpowiedniego ekwipunku — pazurki jego są słabe, a przedewszystkiem nie umie się niemi posługiwać. Ale to „holendrowanie“ po posadzce wydaje mu się jakimś wspaniałym curlingiem na lodzie, nie pozbawionym emocji. Lecz oto dobija do brzegu... dywana, który jest bardziej pewny, przytulny i miękki. Dywan dla szczeniaka jest czemś znacznie więcej jak dywanem: daje sposobność nietylko koziołkowania, ale również wypróbowania swych zębów, które małego Foxika w tym czasie okropnie swędzą. Jeszcze kilkanaście kroków, czyli w pojęciu maleństwa mil angielskich i Foxik staje przed nową zagadką. Jakieś dwie łodzie dziwacznie wykrojone ze skóry czekają na pasażerów. Oczywiście, że pierwszym, który do niej wchodzi, jest Foxik, zdradzający jakieś nautyczne zdolności. Dopiero znacznie później, gdy edukacja maleństwa będzie ukończona, zda on sobie sprawę, że owemi tajemniczemi łodziami była poprostu para butów jego pana. Tymczasem jednak chwyta za sznurowadło i ciągnie je jak linę, którą przymocowuje się łodzie u brzegu.



Pieski czują w powietrzu... kaczkę dziennikarską!



Pierwsze śniadanie spożywają w skupieniu...

I naraz wchodzi w orbitę świata prasy. I on chce być poinformowany co się dzieje na szerokim świecie. Zależnie od usposobienia jeden studjuje depesze polityczne, inny znów czyta uważnie odcinek powieściowy. Nie potrzeba dodawać, że studjowanie codziennej prasy odbywa się zapomocą zębów!

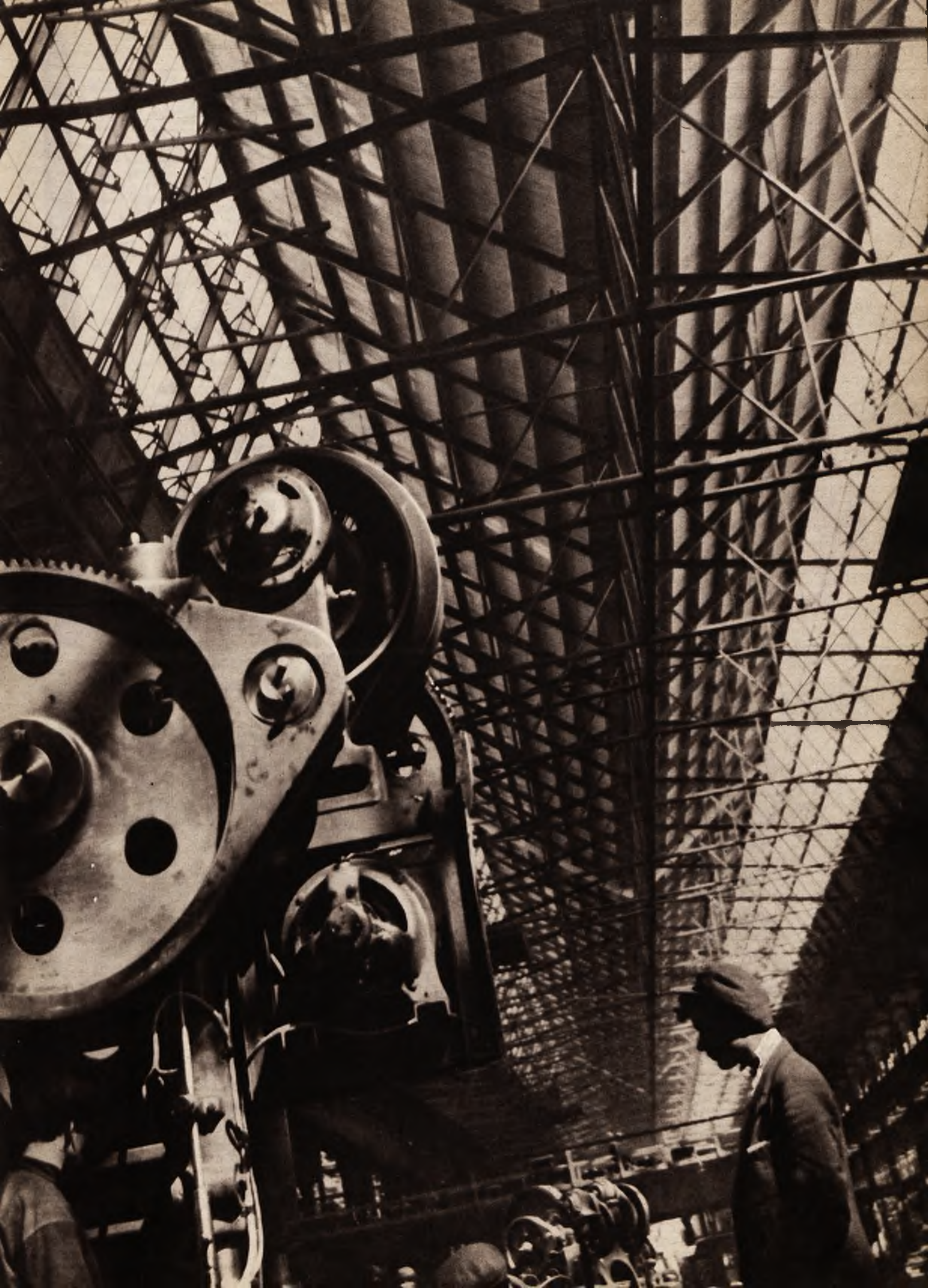
I tak powolutku ze szczeniaka wyrasta dorosły pies, rozporządzający pewnym zapasem doświadczenia i światopoglądem. Sięga on oczywiście zaledwie łydek ludzkich i kryje się... pod kanapami i stołami. Ale trudno, wedle stawu grobla. **J. Godziemba.**

Zawieranie znajomości z przedmiotami piewszej potrzeby.



SYMFONJA ŻELAZA

Olbrzymie zakłady w Czeliabińsku w Z. S. R. R., ogromem swym mogą konkurować z zachodnią Europą. *Fot. Intern. Press-Photo Service — Warszawa.*

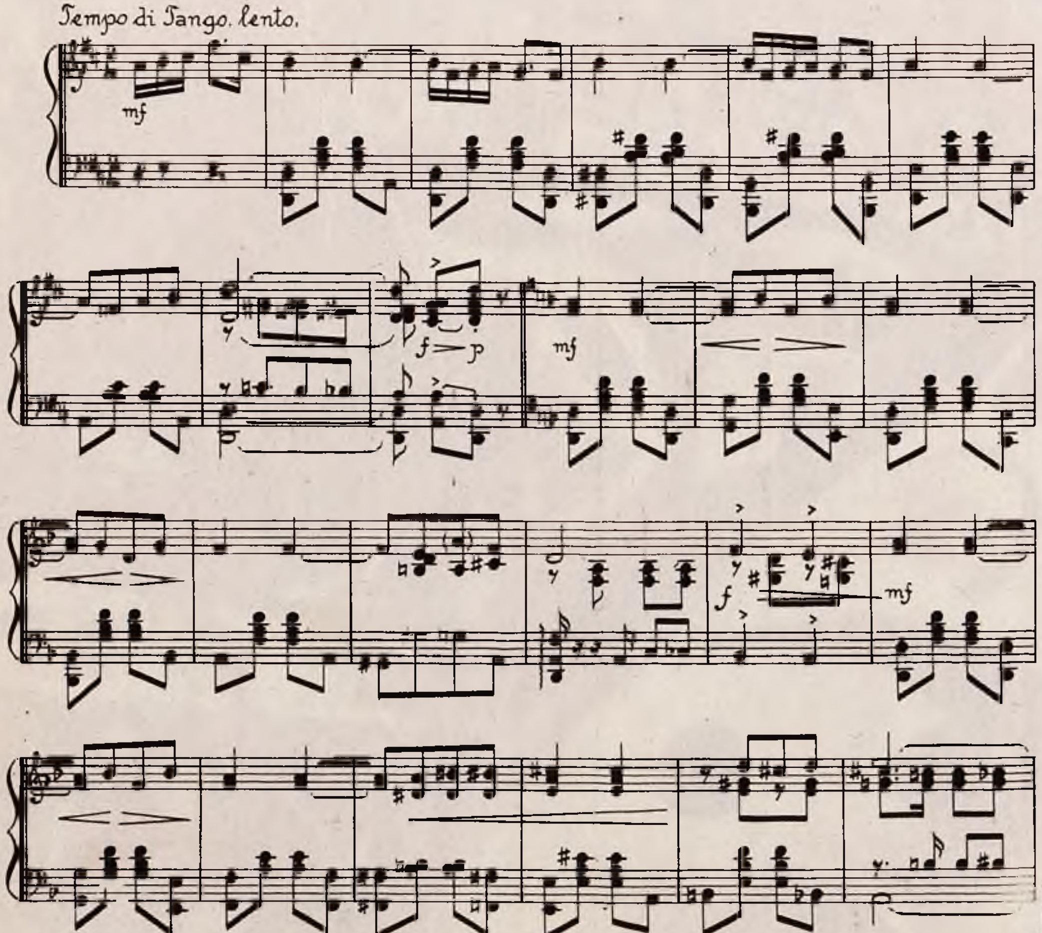


Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

HELENKO MOJA

tango sentymentalne

Słowa i układ fortepianowy Feliksa Pasikowskiego
Muzyka Feliksa Głowackiego





Dzieci szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

30-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA

Przesunął ręką po stopie Roberty — i, aż do Port-Etienne, powtarzał, od czasu do czasu ten ruch, niby niemą pieszczotę. Kiedy poczuł pod zwalniającemi kołami aparatu marokańską ziemię, wyrzekł mocno i wyraźnie:

— Z wami wróciło moje szczęście...

A w kilka godzin później już nie żył.

XIV.

Spośród trójki przyjaciół, jedynie Vivant zaznał błogosławionego dobrodziejstwa łez.

Roberta i Le Droz zdawali się być zamknięci w kręgu nieludzkiego bólu — w krainie, gdzie brak jest powietrza dla płuc i gdzie życie zamiera, a myśli, wciąż żywe — niby kamienie, przewalające się bezpłodnym, ciężkim ruchem — na miazgę rozcierają mózg; sercu zaś, ściśniętemu zimnym skurczem bólu, nie przychodzą w pomoc ani łzy, ani łkania, ani krzyk.

Vivant zaś, krzyczał w głos, na dziedzińcu szpitala wojskowego:

— Ramon — nie, nie uwierzę w to! — Nie chcę, nie chcę! — Zrobiłem przecież wszystko, co mogłem... Nie skrzywiłem ani jednej osi — a sam wiesz, jak to było trudno... Ty byłeś takim cudownym pilotem!

I łamiąc ręce, rzucił się ku Robercie:

— Byłaś wtedy na lotnisku w Casa! — krzyczał. — Pamiętasz te trzy jego loopingi przed opuszczeniem się na ziemię? — A przecież miał wtedy otwartą ranę w boku! — I zaraz zaczął tak przyjaźnie mówić do mnie... Czemuż on teraz... Ja nie chcę, nie chcę! — Pozwólcie widzieć go — iść do niego! — Ja mu powiem...

Le Droz ujął go za ramię.

— Spokoju — rzekł miękko. — Tak nie można... Nie masz prawa, w tym stanie iść do niego.

— Jacques, tyś wielki i taki silny! Zrób coś — błagał Vivant. — Wróć go, ty potrafisz! Ty przecież cały aparat utrzymałeś na barkach! Nie pozwól mu mieć tej twarzy — nie naszej — takiej obcej... Ja nie chcę — ja nie chcę! — On mnie uratował przed wylaniem z eskadry... On podzielił między nas wygraną na loterji! A my nie potrafiliśmy zdążyć na czas! Przewidzieliśmy wszystko, wszystko! Tylko nie to, że zaraz po wylądowaniu zbiegnie im! — To jest karą za to, że zwątpiliśmy w jego odwagę... Myśleliśmy, że potrafi być taki ostrożny jak my... Ramon! — Ramon taki piękny i taki umiał być ciepły, tyle w nim było słodyczy... Roberto — mówił bezładnie, chwytając ją za ramiona — ciebie on na końcu najbardziej potrzebował... O, ja to widziałem, dobrze widziałem! I nawet, bolało mnie to... Idźże do niego, wołaj go... Musisz to zrobić! Ciebie on usłyszy...

Młoda kobieta chciała przecząco poruszyć głową, by wyrazić nicość wszystkiego, wobec potęgi, większej od miłości, od przyjaźni, od ludzkich uczuć i zaklęć... Lecz nie znalazła sił, by wymóc na sobie najmniejszy ruch; tak, jakby coś sparaliżowało wszystkie jej stawy. Wewnętrznie jednak poczuła, że coś poruszyło się w niej... Jakieś słabe, nieuchwytne drgnienie zbudziło się w niej na widok tej twarzy dziecka, mokrej od łez — pod dotknięciem tych rąk, czepiających się jej, niby ręce tonącego, wpijające się w drugiego rozbitka.

— Ivan, mój kochany, nie masz sobie nic do wyrzucenia. Gdyby nie ty, Ramon konałby w męce tam, na pustyni — i sam... (Zadrżała cała. Dusza jej stała się dostępną dla bardziej ludzkiego cierpienia). — Albo, brutalne ręce żołnierzy niosłyby go w tej chwili spowrotem do więzienia... Wołał śmierć od tego — sam powiedział... Kiedy tak szedł, napół przytomny, przed siebie pustynią, marzyło mu się, że będzie królem jakiegoś plemienia Maurów... Niosła go ta nadzieja — nie był całkiem nieszczęśliwy... A potem ty uniosłeś go w swojej maszynie. — Miłą mu była ta podróż powietrzna z nami... Poznał nas — przemówił do nas...

Usta jej zadrgały i wreszcie dobroczynne łkania wstrząsnęły nią. Wyjąkała jeszcze:

— To było... jego szczęście... Powinno pocieszyć cię, Ivan... W nas zobaczył je znowu...

I wtedy w Le Drozie poruszyło się również coś — obudził się ruch jakiś i odprężył ten ucisk wewnętrzny, którego ciężar, rosnący ciągle, byłby go przywiódł do szaleństwa... I nie przez zwoje systemu nerwowego poszukał sobie ujścia ów ruch, lecz poprzez skomplikowany mechanizm jego mózgu.

— Ramon wiedział, dlaczego nie chciał żyć — począł mówić w zamyśleniu. — On, aby żyć, potrzebował, żeby go ktoś podtrzymywał — otaczał opieką — chronił go. Za subtelny był materjał, z którego był urobiony... Roberta przez pewien czas potrafiła chronić go i dać mu oparcie... Lecz to nie wystarczyło mu na długo... Cóż począć miał, zdala od ojczyzny, wyrwany z klimatu — z całego porządku rzeczy, które były mu niezbędne do życia? Widzę teraz jasno: ten automobil, z którym rzucił się w szklanną fasadę hotelu, ta ręka obezwładniona, to przejście przez granicę francuską, nie wiedzieć właściwie poco? — ta ucieczka w pustynię — wszystko to były jakby ogniwa łańcucha... Czuł, że trzeba mu umrzeć. Szczęściem jego było umrzeć tak, jak umarł — wieziony powietrzem przez Ivana, pod pieczą Roberty... Ja tylko jeden daleki byłem od niego — bo jestem twardym bydlakiem!

Noc zapadała, a oni rozmawiali jeszcze o nim — cicho i jakby w zalęknieniu... Wreszcie Vivant, zmorzony bólem, zasnął na ławce na podwórzu. Spuchniętą i gorącą od łez twarz jego muskał powiew, idący od strony pustyni.

— Jacques, — odezwała się bardzo cicho Roberta — Plessoye zażądał, żebym nie widywała się z wami.

— Uważa, że jesteśmy niebezpieczni... Ja też tak sądzę, teraz... A ty zgodziłaś się?

— Kocham go...

I zapadła między nimi krótka chwila milczenia.

— Dla mnie, nie będzie to takie ciężkie — zaczął Le Droz — ale Ivan? Nie będę mógł żyć jego życiem... Dziennik zabierze mnie całego... Nie mogę już prowadzić naszej dawnej gry z życiem...

Nagle głos jego załamał się do ledwo uchwytnego szeptu.

— Zdaje mi się, że — że się boję... Żyć tak, jak żyliśmy — to może zaprowadzić za daleko... Boję się...

— I ja...

— Nie łatwo jest żyć...

— Ani umrzeć — widziałeś sam...

— Więc... trzeba zawrócić — zmienić kierunek... Obowiązki, praca — normalne, regularne szczęście... Godzina nasza wybiła. Kiedy nadchodzi, nie wolno opierać się jej... Nie jesteśmy już zdolni do naszego dawnego szczęścia — ani go już godni...

Siedzieli tak przez chwilę, nasłuchując odgłosów nocy. Potem Le Droz zapytał znowu:

— Pobieracie się?

— Plessoye nie mówił nic o tem...

— Ożeni się z tobą.

Roberta podniosła głowę ku przedziwnym konstelacjom, jarzącym się nad pustynią.

— Cokolwiek się stanie, nie będę nosiła nigdy innego pierścienia, tylko ten, z Villa Cisneros.

— To dobrze — tak trzeba. To wszystko, co zastaje nam z najpiękniejszej części naszego życia.

I ciężkim krokiem, — postarzały o wiele lat — Le Droz odszedł, by czuwać u wezgłowia śpiącego snem wiecznym Ramona.

* * *

Gorące klimaty nie pozwalają zwlekać z pogrzebem. Nazajutrz o świcie pochowano Ramona de Jasarte.

Trójka przyjaciół, wyszedłszy z cmentarza, wracała do zabudowań Aeropostale.

W warowni, strzelcy Senegalijscy schodzili właśnie z wartowni na wieżyczce, po zmianie warty. Wędrowni Maurowie, odziani w niebieskie płaszcze, przytrzymane w pasie wbitym w materję sztyletem, o misternie rzeźbionej głowni, modlili się, twarzą zwróceni ku wschodowi. Łodzie bretońskich poławiaczy langust, pochylały czerwone, lub spełzłe na różowo żagle, kołysząc się wolno na Oceanie, wśród włóczącej się jeszcze nad wodą mgły. Zabrzmiała trąbka do apelu.

Roberta i jej towarzysze stali bez ruchu, póki nie zbliżył się do nich starszy mechanik i nie zapytał Ivana:

— Czy trzeba do pełna nalać benzyny?

— Le Droz — słuchaj — nie jestem w stanie... Nie wsiądę już nigdy do tego aparatu! — zwrócił się pilot do przyjaciela.

— Choćbyś chciał, nie wsiądziesz do niego teraz. Nie możemy już przecież, po Villa Cisneros, lądować u Hiszpanów... A twój aparat nie nabierze tyle benzyny, żeby dobić do Agadiru, bez odnowienia zapasu.

— To prawda! — zawołał z ulgą Vivant.

— Jakże więc wrócimy? — spytała Roberta.

— Samolotem Aeropostale. — Kiedy odlatuje najbliższy? — zwrócił się Le Droz do mechanika.

— Jutro. Leblond prowadzi właśnie po raz ostatni maszynę. — Macie szczęście!

— Kto? — Jaś Leblond?! — zapytał Vivant z zajęciem, do którego nie byłby przypuścił, że może być zdolny w tej chwili — gdyby wogóle był w stanie zdać sobie z niego sprawę.

— Wraca z Ameryki. Mianowano go dowódcą pilotów w Tuluzie.

— To nie jest człowiek — to jest b ó g! — oświadczył Vivant.

— Tak, prawie — zgodził się Le Droz, uśmiechając się blado.

I obaj zaczęli nabierać na nowo smaku do życia, opowiadając Robercie dzieje owego pilota — prawdziwą epopeję heroiczną lotnictwa francuskiego. Leblond, 29 lat — a miał już za sobą pragnienie w pustyni syryjskiej — niewolę u Maurów — tortury u Indjan z nad brzegów Amazonki — cztery przeloty przez Atlantyk — i palmę pierwszego przelotu ponad Kordyljerami! Bo istotną potrzebą serca, tak dla Le Droza jak dla Vivanta, było podziwiać to, co kochali.

* * *

— Gdybym nie wiedziała — odgadłabym, na pierwszy rzut oka, że to on, po tem, co powiadaliście mi! — rzekła Roberta, kiedy zobaczyła Jana Leblond.

Oczy jej spoczęły długo na pilocie, o torsie Herkulesa, a twarzy młodocianego herosa antycznej bajki — niemal że dziewczęcej. Schodząc z olbrzymiego samolotu, który prowadził ku północy, Leblond śmiał się, silnym, zdrowym, dziecięcym śmiechem.

Vivant rzucił się ku niemu — odnajdując w jednej chwili cały polot i szalony swój zapał.

— Jasiu! — Radości nasza! — Trzy lata, nie widziałem cię! — Cóżeś ty przez ten czas nie wyczynił?!

— Chodź na kieliszek, ty foksie smarkaty — odparł Leblond. — Czasu mało, tyle co nabić rezerwoar do pełna i załadować pasażerów. — Znasz ich może?

— Jestem jednym z nich.

— Tembardziej spieszyć się trzeba.

Zasiedli na kulawej ławie, pod walącym się dachem baraków mechaników Aeropostale.

— Aleś ty cudów dokonał! — zaczął znowu Vivant.

— Bez tych ględzeń! — przerwał z obrzydzeniem Leblond. — Mów mi o sobie. — Na jakiej linji latasz?

— Ja... na żadnej...

Piękna twarz pilota posmutniała i zastygła w surowej naganie.

— Jakto? — zapytał. — Rzuciłeś lotnictwo?

— Niezupełnie. — Mam turystyczny aparat...

— I to nazywasz lotnictwem? — Taki pilot jak ty? — Stchórzyłeś — czyś chory?

Vivant spuścił głowę.

— Dostałem spadek, akurat, kiedy skończyłem służbę wojskową... — westchnął z żalem.

— To już wolę — oświadczył Jan Leblond, odnajdując swój potężny, a pełen dobroci śmiech. — A teraz?

— Teraz, już na życie i śmierć — do was! — Żebyś ty był znał Ramona!

I począł opowiadać prędko, bezładnie, wyprawę do Villa Cisneros. Lecz zapał jego miał tak bolesne akcenty, że Leblond zrozumiał wszystko.

— Jeżeli chcesz pozostać samym sobą, to przystań do nas. Angażuję cię z miejsca. Pojedziesz do Ameryki Południowej. Zobaczysz, jakie tam rzeki! — Zobaczysz Południowe Morze — i Andy — i lasy dziewicze — i śliczne mulatki. — Będziesz ciągle latał i będziesz żył między kolegami!

Czysta — i zaraźliwa — namiętność powietrza, spalała tego człowieka, stworzonego do lotu, po niebieskich szlakach.

— No. idziesz do nas?

— Tak, ale jeżeli mi dasz za mechanika Ludwika Courdoneau. — Siedzi biedak i zżera się na śmierć z tęsknoty w Villa Cisneros!

* * *

Samolot Jana Leblond, miał wystartować w sobotę o siódmej rano z Casablanki. Vivant miał go prowadzić aż do przystanku w Alicante.

Kilka minut przed odlotem ukazało się auto, wiozące obu pilotów, Robertę i Le Droza. Stanęło u skraju lotniska, tuż obok zabudowań wojskowych.

— Chwileczkę! — zawołał Vivant. — Skoczę tylko do mojej dawnej eskadry. Mam tam przyjaciół. — Przecież siedem miesięcy temu służyłem jeszcze tu, między nimi.

„Siedem miesięcy..." — powtórzyli w duchu Roberta i Le Droz.

— Szczęście ma lotne nogi... — szepnął dziennikarz.

Czekali w milczeniu na Ivana. Widząc, że nie nadchodzi jakoś, podeszli do znanego im obojgu, baru eskadry lotniczej.

Przez niedomknięte drzwi ujrzeli kilku podoficerów, otaczających kołem Ivana. Na twarzach ich — na wpół jeszcze zaspanych — widniała radość i szczęście.

A Ivan krzyczał:

— Porządne chłopy z was! Nie zdjęliście mego trapezu! — A któż bawi się nim teraz?

— Wszyscy po trochu — odpowiedział sierżant radjo-telegrafista Popin. — Ale żaden nie dorasta ci do pięty!

— Może zardzewiałem trochę... — rzekł z trwogą w głosie Vivant. — Zobaczymy!

I skoczył na ruchomy drążek. W tej chwili samolot, który miał pilotować do Hiszpanji, zawarczał...

— Spóźnisz się — rzekł Popin. — Musisz wiedzieć, że nie czekają ani minuty.

— Wszystko jedno. — Leblond będzie wiedział, gdzie mnie szukać... — Pomyśleliby jeszcze, żem się zląkł trapezu! — mruknął do siebie.

I żeby nabrać giętkości, powoli, po dwakroć, uniósł się na drążku.

Roberta i Le Droz spojrzeli po sobie.

— Zostawmy go — rzekła młoda kobieta. — Lepiej mu będzie tutaj.

W tej chwili Vivant rozhuśtał się na trapezie. Oni zaś pospieszyli ku hangarom.

I wtedy nagle dosięgnął ich wielki, cudowny, triumfalny krzyk:

— En avant Vivant! — Ivan Vivant, en avant!!

A dla nich był w tym krzyku jakby głos wyrzutu — i świst policzka. Był jakiś ostatni zew ku brzegom, do których niema przybicia — ku czasom — ku młodości — ku przeżytemu szczęściu, do których niema powrotu.

KONIEC.



Auto stanęło u skraju lotniska, tuż obok zabudowań wojskowych.

PRZED WYSTĘPEM NA WIELKIM ŚWIECIE.

Urocza artystka Ann Sothern w toalecie wieczorowej.

Fot. Polonsky, Hollywood.





Urocza artystka Hollywoodu, Elizabeth Young, znana jest z wielkich zdolności artystycznych nietylko w zakresie kina, ale również mody kobiecej.



Nowy Jork w nocy przedstawia olbrzymie morze świateł, mieniące się w różnych kolorach.

Pani może być czarującą i młodą, jeżeli...

WYWIAD VIRGINJI VINCENT Z ELŻBIETĄ YOUNG, GWIAZDĄ EKRANU

— Odpowiednie zachowanie się tak fizyczne, jak i duchowe, są najważniejszemi środkami służącemi ku utrzymaniu urody, — mówi Elżbieta Young, młoda gwiazda, która z małego teatrzyku na Park-Avenue przedostała się do Hollywood, wykazując tak wielkie zdolności „podróżnicze" i tak wielkie tempo, jakich nawet w stolicy filmu dotychczas nie zanotowano.

Elżbieta Young jest jednym z najlepszych nabytków, wziętych z Broadway'u, gdzie występowała przez dwa sezony. Każdy cal tej miłej aktorki jest dobrze „postawiony", a mierzy ona pięć stóp i pięć cali. To samo można powiedzieć o każdym gramie jej wagi, którą umie odpowiednio „nosić", a dodać musimy, że waży ona 110 funtów. — Piękne jej niebieskie oczy wyrażają wiarę w siebie, kasztanowate jej włosy są tak uczesane, że tworzą wrażenie wielkiej harmonji i równowagi. Każde słowo, które mówi Elżbieta Young wymawia dobrze, umie je odpowiednio wykorzystać, w czem pomaga jej zapewne znajomość języka francuskiego i włoskiego.

— Trzeba umieć „trzymać się", aby stać się całkowicie panią swej osoby. Można tę zaletę rozwinąć. Zapewne widziała pani nieraz piękną osobę, która główkę trzymała niezręcznie i traciła przez to wszelki urok. — A inne znów podciągają do góry ramiona, jakgdyby ich coś bolało w plecach. Dla takich właśnie osób przedewszystkiem konieczne jest, aby kierowały estetyką swych ruchów.

— A czy postawa pani jest naturalną, czy też wyuczoną? — pada niedyskretne, ale ciekawe pytanie.

— Dziesięć minut rannej gimnastyki pomaga mi w utrzymaniu odpowiedniej postawy, ale — x-lat temu nieraz ciężko się namęczyłam, będąc w gimnazjum i wykonując ćwiczenia pod komendą pewnego szwedzkiego profesora gimnastyki, który uczył mnie, jak zachować pełną kontrolę swych muskułów.

Zdaniem Elżbiety Young odpowiednia postawa jest nieodzownym warunkiem uwydatnienia piękności toalety. Najpiękniejszy strój noszony nieodpowiednio, nie zdoła wywołać najmniejszego efektu. I nawet toaleta paryska, kupiona na wagę złota, wygląda jak kiepska sukienka uszyta przez partacza, jeżeli osoba, która ją nosi, trzyma się krzywo i ma wygląd „nieszczęśliwy". Wiele osób nie zdaje sobie wogóle sprawy, kiedy dobrze się trzyma, a kiedy źle.

— Zapewnie nikt pani ze znajomych nie zwracał uwagi odnośnie pani postawy i musiała pani sama zastanowić się nad tem? — pyta pani Wirginja Vincent.

— Oczywiście, — odpowiada Elżbieta Young. — Należy siebie studjować dla własnego dobra. Położywszy książkę na głowie, należy chodzić po pokoju: o ile książka nie spadnie, oznacza to, że trzyma pani głowę dobrze, pod prostym kątem i całe ciało posiada odpowiednie nastawienie, jeżeli jednak książka spada, należy się mieć na baczności i sprawdzić swoją postawę. Złe trzymanie się spowoduje wkrótce, że plecy się zaokrąglą, głowa kryć się będzie w ramionach i z natury kształtne linje ciała ludzkiego coraz bardziej będą odbiegać od piękna. Zwracanie uwagi na postawę jest najlepszym środkiem utrzymania harmonji ciała. Powiem więcej: przyczynia się ono do rozwinięcia piękna, jeżeli go nie posiadamy od urodzenia. Oczywiście, że nie przysporzy ono pani urody, ale stworzy harmonję ruchów i wyglądu, co nieraz tyle znaczy, co uroda twarzy. Ja osobiście jestem przekonana, że dobra postawa przygotowuje pewnego rodzaju ustosunkowanie się do świata i przyczyniając się do jego piękna, pozwala też korzystać z jego uroku.

Życie
towarzyskie i artystyczne

JUBILEUSZ PRACY DYR. K. DOBIJI



Ostatnio dziennikarze krakowscy, reprezentujący wszystkie redakcje miejscowe, uczcili w salach Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich 25-letnią zasłużoną działalność na korzyść Syndykatu Krakowskiego i prasy dyr. Kazimierza Dobiji. Przybywającego z małżonką do Syndykatu jubilata przywitał chór „I. K. C.", poczem prezes Syndykatu prof. dr. Józef Flach podniósł w swem przemówieniu liczne zasługi dyr. Dobiji dla dziennikarstwa krakowskiego. Wręczenie artystycznie wykonanego dyplomu wyrażającego, że jubilat „dobrze się zasłużył Syndykatowi" i albumu, jak również serdeczne przemówienie dra Rubla i słowa podzięki jubilata, zakończyły piękną uroczystość. Następnie w sali Tetmajerowskiej odbył się bankiet w miłym nastroju. W środku grupy p. dyr. Dobija (1) z małżonką (2).

25 LAT TWÓRCZOŚCI K. H. ROSTWOROWSKIEGO



Wielki dramaturg K. H. Rostworowski obchodzi w bieżącym roku 25-lecie swej twórczości dramatycznej. — Jubileusz wielkiego autora upamiętniony będzie uroczystem przedstawieniem „Judasza z Kariothu" na scenie teatru Miejskiego im. J. Słowackiego z Ludwikiem Solskim w roli tytułowej. Protektorat nad uroczystościami jubileuszowemi objęli: minister W. R. i O. P. dr. Świętosławski, ks. Biskup, Metropolita krak. Adam Stefan Sapieha, wojew. krak. dr. Świtalski, prezydent miasta dr. Kaplicki, prezes P. A. L-u Sieroszewski, oraz dr. Zawistowski, naczelnik Wydziału sztuki w ministerstwie W. R. i O. P.

ELŻBIETA WIECZORKOWSKA



Jedną z najzdolniejszych artystek młodego pokolenia sceny polskiej jest Elżbieta Wieczorkowska, która doskonałe warunki łączy z wybitnemi zdolnościami artystycznemi. Elżbieta Wieczorkowska pełny sukces zdobyła ostatnio na scenie wileńskiej w teatrze „Pohulanka", a krytyka nie szczędziła jej słów pochwały, zwłaszcza za główną rolę w „Szczęśliwem małżeństwie".

STAROPOLSKA ZABAWA W BYDGOSZCZY



Koło Przyjaciół Harcerstwa w Bydgoszczy urządziło ostatnio w auli Szkoły Podchorążych nadwyraz udaną zabawę p. t. „Wieczór stroju i tańca polskiego". Zabawa ciesząca się ogromnem powodzeniem, była pierwszą imprezą tego rodzaju, która podkreśliła zarówno strojami, jak też tańcami narodowe cechy polskie. Zauważyć można było piękne delie, kontusza, jakoteż stroje ludowe, góralskie, huculskie, łowickie i inne. Na zdjęciu grupa uczestników zabawy — od lewej pp. Glińska, dr. Gliński, drowa Zbierzchowska-Gadomska, dr. Chmielarski, p. Chmielarska.

Zakopiański przemysł ludowy

Górale nasi to typ etnograficznie bardzo ciekawy i mimo znacznego zetknięcia z kulturą miejską, zachowujący swą odrębność zarówno charakteru, jak obyczajów, stroju i swoistej sztuki ludowej. Niewątpliwie, jest to wpływ bliższego niż gdzieindziej współżycia z naturą, piękniejszą, choć groźniejszą niż w dolinach, ale rozbudzającą w duszy ludzkiej poczucie swobody, wolności, szerokiego oddechu i pewnej jakby nawet wyższości nad sąsiadami z nizin. Więc jest nasz góral i „honorny" i miłujący „ślebodę" i mający poczucie humoru, jak i piękna.

Wyrosła na tle takich elementów ludowa sztuka góralska zadziwia swemi przejawami, od lat kilkudziesięciu, wrażliwych na piękno artystów pióra, pendzla, czy lutni a powstający z niej przemysł chałupniczy liczyć już dziś może nawet na eksport zagranicę, gdzie się zwolna, lecz z prawdziwym entuzjazmem przyjmuje. Szczególnie wyroby drewniane zyskują w ostatnich czasach na zasłużonym rozgłosie, celując w rzeźbie, jakoteż kolorystycznem ujęciu rozmaitych przedmiotów codziennego użytku. Dorównują im, a w niektórych wypadkach przewyższają, wyroby

Poniżej: Rzeźbione pudełeczka i szkatułka na włóczkę.





Ramki do obrazka, w kształcie rzeźbionej kapliczki.



Na lewo: Poduszki skórzane w kolorowy deseń i parzenice haftowane na góralskiem suknie. — Popielniczka na skórzanym pasku do przewieszenia na poręczy fotela czy kanapy. Poniżej: Ładnie w drzewo oprawna szczotka do rzeczy z wieszakiem.





Ramy lusterka ozdobione ulubionym motywem Janosików na tle stylizowanych płomieni

skórzane, barwione trwałemi kolorami w motywach czysto ludowych lub ich stylizacji.

Dość ograniczona dawniej ich użytkowość rośnie obecnie szybko, gdyż rozszerza się stale zakres pożytecznych przedmiotów z codziennego życia, jakoteż miłych drobiazgów, które z drzewa czy skóry wykonywane być mogą z całkowitem powodzeniem. Do ozdoby wnętrz posłużą albumy tłoczone w skórze, ozdobne mosiężnemi okuciami, lub grające żywemi barwami kolorowej aplikacji. Poduszki skórzane, modne oddawna, lecz mdło wypadające w magazynach naszych większych miast, tu znalazły najpiękniejsze swoje

chyba urzeczywistnienie, przy użyciu ludowych motywów i ludowych sposobów nadawania skórze czystych, zdrowych barw, zestawianych, przyznać trzeba, z wielkiem poczuciem artystycznego smaku.

Dla pani i pana znajdujemy efektowne torebki, puderniczki, notesiki, lusterka, paski, kołnierzyki, portfele, papierośnice, teczki.

Przedmiotów z drzewa jest niezliczona ilość o różnorodnym stopniu praktycznego zastosowania. Szczególnie panie domu mogą wśród nich dobierać wiele celowych drobiazgów. Będą to np. lusterka czy urocze szatułki w niezliczonych wymiarach, których w żadnym domu nie bywa zawiele. Fotografje, chusteczki, robótki ręczne znajdą w nich stałe i estetyczne pomieszczenie.

Nowoczesne urządzenia wnętrz nietylko dozwalają, ale polecają dobór żywych plam kolorystycznych na tle stołów, stoliczków, tapczanów itp. Należałoby szukać ich w wytworach przemysłu ludowego, wśród których wzory zakopiańskie wiodą uznany prym.

J. Z.



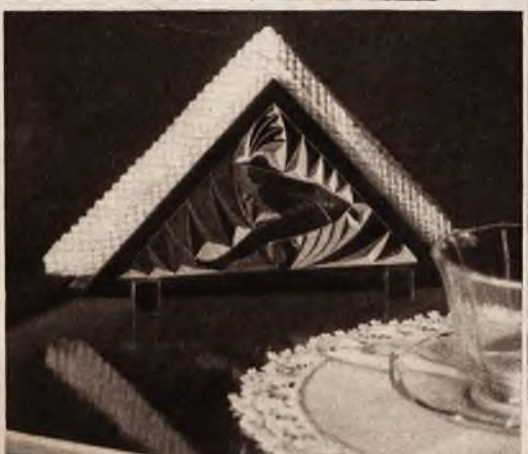
Album na fotografje z wzorem wytłaczanym i nakładanemi motywami metalowemi.



Torebki damskie zalecające się modnym kształtem i solidnem wykonaniem.



Toporek góralskiej ciupagi, artystycznie rzeźbiony w metalu.



Na prawo: Podstawka na bibułkowe serwetki z motywem górala skaczącego przez ogień.



Małe toaletowe lusterko w subtelnej ramce.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA Z PŁATKÓW OWSIANYCH. (Prędka kuchnia). Na łyżce masła usmażyć małą siekaną cebulkę, dodać 5 dkg płatków owsianych, zalać litrem wody lub rosołu z kości, dodać dwie łyżki pomidorów przetartych (z konserw), 1 kostkę bulionową i gotować razem 10—15 minut. Zupę fasuje się przez sitko, zagotowuje i podprawia żółtkiem.

BUDYŃ JARZYNOWY NA BESZAMELU. Z 2 dkg. masła 5 dkg. mąki i 1/4 l mleka ubić na ogniu gęsty beszamel. Po ostudzeniu wbija się cztery żółtka, ucierając je z beszamelem na gładką masę. Osobno gotuje się małą główkę włoskiej kapusty, w słonej wodzie, wyciska dobrze z wody, miele i miesza z beszemelem. W końcu dodaje się pianę z 4 białek, nakłada w formę budyniową i gotuje na parze godzinę. Na tej samej podstawowej masie beszamelowej sporządzać można bydynie o innym smaku, dodając w miejsce włoskiej kapusty np. 4 łyżki duszonej i zmielonej marchewki, groszku, grzybów lub szynki mielonej. Sposób przyrządzania zawsze ten sam, jaki podano. Budynie te są lekkie i łatwo strawne; podawane chorym lub ozdrowieńcom są chętnie przez nich widziane. Podaje się polane masłem lub odpowiednim sosem.

PIECZARKI FASZEROWANE. 10 dkg pieczarek oczyścić i wymyć, wykroić ostrożnie nóżki, aby nie uszkodzić główki. Nóżki sieka się drobno i dusi na maśle z cebulką i zieloną pietruszką, miesza z 15 dkg uduszonej i dwa razy zmielonej pieczeni cielęcej, solą i pieprzem, 1 jajkiem i łyżeczką wina Madery. Farszem tym napełnia się główki pieczarek. W natartym masłem rondelku ustawia się główki dość ciasno, posypuje smażoną bułeczką wymięszaną z parmezanem, kropi masłem i wstawia na 20 minut do gorącego pieca. Ułożone na półmisku okłada się grzankami z bułki i ubiera zieloną pietruszką. Podając tę potrawę jako postną, zastąpić można mięso pieczoną lub gotowaną rybą, siekanemi twardemi jajami lub kaszką.

MÓŻDŻKI Z ZIELONYM GROSZKIEM W MUNDURKACH. Dwa móżdżki gotuje się w słonej wodzie, obiera czysto z żył i błon, sieka drobno i miesza z zielonym groszkiem uduszonym i podprawionym na gęsto maślaną zasmażką, zalaną mlekiem. Masę układa się na muszelkach, kładzie na każdej plasterek jajka twardego, polewa masłem i wstawia na 5 minut do gorącego piecyka.

PIKANTNA PASTA NA KANAPKI (tertynki). 10 dkg masła deserowego rozetrzeć na pianę, dodać 10 dkg bryndzy lub sera imperial, łyżeczkę francuskiej musztardy, papryki, siekanej cebulki i kaparów, wkońcu roztarte sardynki z małej puszki oraz oliwę z pod sardynek. Pastą tą smaruje się małe grzaneczki lub płatki bułki i przybiera sardelką, jajkiem lub rzodkiewką.

SAŁATA Z BRUKSELKI. Ugotowaną w słonej wodzie i odcedzoną z niej brukselkę ostudza się, posypuje białym pierzem i solą, polewa octem lub sokiem cytrynowym i oliwą. Sałatka ta nadaje się do ubierania wszelkich sałat jarzynowych i innych.

SANDACZ A LA MATELOT. Oczyszczonego sandacza kraje się w poprzeczne filety, które się soli i odstawia. Głowę i resztę odpadków ryby gotuje się w wodzie pół na pół z czerwonem winem, solą, łyżką octu, dwoma łyżkami pasty pomidorowej, oraz cebulą, usmażoną na oliwie. Po godzinnem gotowaniu przeciera się wygotowany sos wraz z dodatkami do drugiego naczynia, wkłada przygotwane filety i gotuje powoli 30—40 minut, zależnie od wielkości rybich filetów. Podaje się z krokietami lub knedelkami z bułki.

KROKIETY RYBIE. Resztki gotowanej lub smażonej ryby ew. morskiej oczyszcza się z ości i sieka drobno. Następnie miesza się je z gotowanemi przez prasę przeciśniętemi gorącemi ziemniakami w tej samej ilości co mamy ryby, troszką smażonej w maśle cebulki, szczypta słodkiej papryki oraz paru jajami (o ile masa za wolna, dodaje się łyżkę tartej bułki). Z masy tej formuje się małe kuliste krokiety, które osypane bułką, smaży się na rumiano pływająco w dłuszczu.

KASZA TATARCZANA Z PŁATKAMI. Uduszona na sypko kaszę tatarczaną miesza się z osobno ugotowanemi płatkami **(jak do szynki)**, polewa suto młodą wysmażoną słoninką, podgrzewa silnie w piecyku i wydaje dobrze gorące.

KREM POMARAŃCZOWY. 25 dkg cukru w kawałku obetrzeć o skórkę z pomarańcz, włożyć do rondla, dodać wyciśnięty i przecedzony sok z 4 pomarańcz i 1 cytryny oraz 1/2 l wody, zagotować, odstawić i włożyć 6 płytek żelatyny, wymytej poprzednio w zimnej wodzie. Osobno ubić 4 żółtka, dokładnie rozprowadzić przegotowanym sokiem i zaciągnąć następnie na ogniu aż zgęstnieje (zagotować się nie śmie). Wkońcu dodaje się tęgą pianę, ubitą z 4 białek, miesza na gorącej blasze na gładką masę, wkłada do formy, wypłukanej wodą i stawia po poprzedniem ostudzeniu na lodzie. Przed podaniem ubiera się krem na półmisku cząstkami pomarańcz lub mandarynek i biszkoptami lub waflami.

JAK SIĘ BADA GATUNKI HERBATY



Sprowdzana do Europy i Ameryki herbata podlega skrupulatnej selekcji na podstawie ustalonych standartów, których agenci firm eksportowych Dalekiego Wschodu muszą pod ścisłemi sankcjami przestrzegać. Oto grono ekspertów studjujących wszelkie możliwe gatunki herbaty przeznaczonej do sprzedaży.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat.	Tydzień 12 — **Marzec** — Dni 31
Niedziela **15** Longina	Bulion z jajem. Pieczarki faszerowane. Sarnie filety z brusznicami i krokietkami z ziemniaków. Krem pomarańczowy z waflami. <u>Kolacja</u>: Polędwica na zimno z sosem remuladowym.
Poniedziałek **16** Lubina	Zupa owsianka. Budyń jarzynowo-beszamelowy. Pieczeń wieprzowa z sałatą z kwaśnej kapusty. Suflet z jabłek. <u>Kolacja</u>: Kasza tatarczana z płatkami.
Wtorek **17** Gertrudy p.	Rosół z kluseczkami z grysiku. Sztuka mięsa w sosie musztardowym. Zrazki cielęce bite z purée ziemniaczanem. Buchtle z konfiturami. <u>Kolacja</u>: Szpinak w miseczkach z kiełbasy.
Środa **18** Edwarda II.kr.	Pomidorówka na śmietanie z ryżem. Omlet z grzybkami. Sandacz à la matelot z knedelkami z bułki lub pieczeń nerkowa z marchewką. Kompot z konserw. <u>Kolacja</u>: Kanapki z pikantną pastą.
Czwartek **19** Józefa Obl. NPM	Zupa grochówka na wędzonce z grzankami. Wątróbka w sosie z kaszką. Kotlety wieprzowe panierowane z kapustą. Krem bananowy. <u>Kolacja</u>: Móżdżek z groszkiem w muszelkach.
Piątek **20** Joachima	Barszcz zabielany z fasolką. Budyń szpinakowy. Szczupak w sosie sardelowym z makaronem. Kompot z moreli duszonych. <u>Kolacja</u>: Śledzie marynowane z bułką.
Sobota **21** Benedykta op.	Zupa jarzynowa przecierana. Krokiety rybne z purée ziemniaczanem. Zrazy siekane w ostrym sosie z tarhonią. Biszkopt z szodonem. <u>Kolacja</u>: Włoska sałata mięsna lub rybna.

AS Kupon konkursu na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki
Nr. 11 z dnia 15 marca 1936 r.

HOCKI-KLOCKI

NIEPOROZUMIENIE



— *Widzę, że pana bolą zęby?*
— *Nie, tylko nie miałem czasu ogolić się...*

KONSERWATYSTA



— *Niech pan sam powie, czy telewizja to nie wspaniały wynalazek?*
— *Ja tam już wolałem dziurkę od klucza!...*

ROZRYWKI UMYSŁOWE

1. LOGIKA.

Przypuśćmy, że następujące zdanie jest prawdziwe „jeśli pan może głosować, to pan jest pełnoletni". Wobec tego, które z poniższych zdań są również **koniecznie** prawdziwe?

1. jeśli pan nie może głosować, to pan nie jest pełnoletni.
2. jeśli pan jest pełnoletni, to może głosować.
3. jeśli pan nie jest pełnoletni, to nie może głosować.
4. pan może głosować lub pan nie jest pełnoletni.
5. pan nie może głosować lub pan jest pełnoletni.
6. pan może głosować lub pan jest pełnoletni.
7. pan nie może głosować lub pan nie jest pełnoletni.

2. WYBORY.

W powiecie, do którego należy Wyborowo Wielkie, oddano w ostatnich wyborach 5473 ważne głosy. Na listę zwycięską padło o 18 głosów więcej niż na drugą, 146 więcej niż na trzecią i o 575 więcej niż na czwartą z konkurencyjnych list. Ile głosów padło na każdą listę?

Rozwiązania z N-ru 10-go

1. W KLUBIE.

W poniższej tabeli każdy z jedenastu wierszy przedstawia rozsadzenie graczy innego dnia, każda kolumna inny stół, a każda para liter parę partnerów.

AB — IL	EJ — GK	FH — CD
AC — JB	FK — HL	GI — DE
AD — KC	GL — IB	HJ — EP
AE — LD	HB — JC	IK — FG
AF — BE	IC — KD	JL — GH
AG — CF	JD — LE	KB — HI
AH — DG	KE — BF	LC — IJ
AI — EH	LF — CG	BD — JK
AJ — FI	BG — DH	CE — KL
AK — GJ	CH — EI	DF — LB
AL — HK	DI — FJ	EG — BC

Litery B, C, D... L następują kolejno. Rozwiązanie powyższe jest pod każdym względem doskonałe: każdy gracz ma każdego innego gracza raz jako partnera i dwa razy jako przeciwnika.

2. NAUCZYCIELE.

Dogmat		fiz.		franc.	
Elektron	rel.				mat.
Kwiatek	rel.	fiz.			
Pourquoi			przyr.		mat.
Ułamek			przyr.	franc.	

3. SZCZYT ZAWIŁOŚCI.

Marja ma 27½ lat, Anna zaś 16½. „Marja (27½) ma dwa razy więcej lat, niż miała Anna ($13^3/_4$) wtedy, gdy Marja miała połowę tego ($24^3/_4$), co mieć będzie Anna (49½), gdy będzie trzy razy starsza (49½) od Marji (16½), gdy ta miała trzy razy więcej (16½) lat od Anny (5½)".

4. KALENDARZOWE TABLICE.

Dla oznaczenia wszystkich dni w roku należy mieć po 3 tabliczki z 1, 2, 3 oraz po dwie tabliczki z 4, 5, 6, 7, 8, 9 i 0. Jednakże odwrócone szóstki mogą zastąpić dziewiątki, a cyfry można umieszczać po obu stronach tabliczek, tak, że ogółem wystarczy ich jedenaście z 21 cyframi.

HUMOR ZAGRANICZNY

ZAPÓŹNO...



— *Wróć ukochany! Namyśliłam się! Doszłam do przekonania, że cię kocham!...*

ENFANT TERRIBLE



— *Tatusiu, czy ten pan to szofer?*
— *Dlaczego Stasiu?*
— *Bo nasz szofer tak samo postępuje z mamusią...*

To warto poznać...

NA SCENIE.

W Krakowie i Warszawie gościła **Komedja Francuska**, dając w obu miastach prezentację komedyj: Moliera **„Szelmostwa Skapena"** i Marivaux **„Igraszki trafu i miłości"**. W Warszawie Komedja Francuska zagrała jeszcze Musseta **„Nie igra się z miłością"** i współczesną komedję Geraldy'ego. Komedja Francuska imponuje Polakom niesłychanym kultem i czarem żywego słowa oraz doskonałą zespołowością gry. Jeśli chodzi o artystów, to, z wyjątkiem amantów, mamy w Polsce siły świetniejsze, niejednokrotnie nawet przewyższające swym artyzmem aktorów francuskich. Zespół francuskiego teatru narodowego zagrał wprost niezrównanie „Igraszki trafu i miłości" w stylu, który trudno byłoby wydobyć naszym artystom. „Szelmostwa Skapena" nasi aktorzy potrafiliby zagrać równie dobrze. Komedję Musseta grano niedawno w Warszawie i obecnie porównanie gry zespołu polskiego z przedstawieniem francuskiem wypadło — jak stwierdzają niemal wszyscy krytycy — na niekorzyść francuskiego przedstawienia. Musset w wykonaniu polskich aktorów stał się prawdziwszy, szczerszy, bliższy dzisiejszemu widzowi.

Artyści Komedji Francuskiej w czasie pobytu w Warszawie przypatrywali się generalnej próbie komedji Moliera **„Mieszczanin szlachcicem"**, która w reżyserji świetnego Zelwerowicza wchodzi na afisz Teatru Narodowego. Aktorzy francuscy szczerze przyznawali, że przedstawienie polskie jest doskonałe.

Obecnie na scenach polskich, obok niezwykle sukcesowej **„Trafiki pani generałowej"**, wielkie powodzenie zdobywa komedja węgierskiego pisarza Fodora **„Matura"**. Z premjerą tej komedji wystąpił ostatnio **teatr krakowski**, a przedstawienie, zagrane dobrze, jest żywiołowo oklaskiwane zarówno przez starszych jak i przez młodzież. Trzy główne postacie kobiece, dobrej nauczycielki-wychowawczyni, starej panny-ofiary uczenic, oraz pełnej życia i dojrzałości kobiecej pensjonarki — grają doskonale Suchecka, Bednarska i Matusiakówna. Rolę dyrektora gra reżyser sztuki J. Karbowski, a dobry typ charakterystyczny nauczyciela daje Kondrat.

Równocześnie „Matura" grana jest w **Teatrze Kameralnym w Częstochowie**, gdzie świetnie postać wychowawczyni odtwarza artystka sceny poznańskiej i katowickiej, Janina Biesiadecka. Dobry typ starej panny daje Święcicka, a miłą pensjonarkę gra Zarębińska. Rolę dyrektora gra E. Dobrowolski, a sztukę reżysersko przygotował Kwaskowski.

Teatr Polski w Poznaniu gra obecnie sztukę wybitnego dramaturga jugosłowiańskiego Milana Begovica **„Bez trzeciego"**. Jest to ciekawe studjum psychologiczne o maniackiej zazdrości, która z bohatera sztuki czyni typ kliniczny. Tragedję dwojga ludzi żony i męża odtwarzają z wysokim artyzmem B. Ludwiżanka i W. Hańcza.

W Teatrze Wielkim w Poznaniu zrozumiałem powodzeniem cieszy się operetka Abrahama **„Bal w Sawoy'u"**. Świetne dekoracje do tej miłej operetki stworzył Z. Szpingier. Każda z siedmiu jego dekoracyj po podniesieniu kurtyny jest natychmiast oklaskiwana. Cały zespół: Dudiczówna, Xenia Grey, Majchrzakówna, Szerszyński, Ruszkowski i inni zdobywają zasłużone oklaski, podoba się także pomysłowy balet z Grabowską i Statkiewiczem na czele.

W Teatrze Wielkim we Lwowie z okazji jubileuszu 50-lecia pracy literackiej i publicystycznej Stanisława Rossowskiego wystawiono zapomnianą jego sztukę **„Nawojka"**. Jest to historja o młodej dziewczynie, która, w przebraniu żaka, kształciła się na wszechnicy krakowskiej za czasów króla Władysława Jagiełły. Ten miły utwór, posiadający nieprzeciętne wartości literackie i teatralne, nadający się doskonale do teatru szkolnego, wskrzesza plastyczną wizję starego Krakowa z XV wieku i życie żaków. Sztuka zagrana została starannie, zwłaszcza Dziewońska (Nawojka), Krzywicki, Białoszczyński (król Władysław), Krzemieński, Kaczmarski byli bez zarzutu.

(swb).

NOWE KSIĄŻKI.

Najwyższy szczyt świata Mount Everest nie został jeszcze zdobyty stopą ludzką. Właśnie niedawno wyruszyła z Anglji nowa, piąta zkolei ekspedycja, złożona z 12 członków, a jej celem podbój tego szczytu, o którego osiągnięcie walczyło wielu. Droga na Everest usłana jest bohaterskiemi ciałami badaczy naukowych, po których nawet ślad nie został. Pierwsze zwycięstwo nad Everestem odnieśli lotnicy. Triumf współczesnego człowieka, wyposażonego w tak nowoczesny sposób walki naukowej, był zupełny. Człowiek mógł spojrzeć zgóry na nieosiągalny szczyt.

Uczestnikami zwycięskiej ekspedycji lotniczej, która w r. 1933 przeleciała nad Everestem, byli: **Fellowes, Stewart Blacker, Etherton, Clydesdale i Barkas**. Czyn ich wymagał niesłychanej odwagi, był lotem w tragiczne nieznane, wymagał przedewszystkiem niezwykle żmudnej pracy przygotowawczej do gigantycznego wysiłku. Obrazem przygotowań do wielkiego lotu i dokumentem zdobyczy naukowych, pamiętnikiem najbardziej emocjonującego z lotów jest książka, napisana przez uczestników ekspedycji lotniczej, która obecnie w przekładzie polskim D. **Kosteckiego** ukazała się nakładem **Głównej Księgarni Wojskowej**, w pięknem opracowaniu graficznem atelier Girs-Barcz. Jej tytuł: **„Samolotami nad Everestem"**.

Wyprawa nie była przedsięwzięta w celu dokonania jakiegoś sensacyjnego wyczynu, lecz w celach wybitnie naukowych, a osiągnięte rezultaty stanowią epokowy krok w dziedzinie ludzkich zdobyczy naukowych i technicznych.

Książka o tym locie jest niezwykle emocjonującą, pasjonującą lekturą, przedstawiającą historję wypraw na Mount Everest oraz techniczne przygotowania do lotu ekspedycji. Rozdziały, mówiące o przygotowaniach, z konieczności operujące samymi technicznymi terminami, pisane są jednak przystępnie, tak, że zrozumiałe i imponujące nawet dla laika. Jak sensacyjną powieść czyta się reportaż z samego przelotu, a raczej z dwóch lotów nad Everestem.

Książka dyszy entuzjazmem dla siły ludzkiej woli, dla genjuszu pracy — stanowi więc wysoce dodatnią pozycję wychowawczą w piśmiennictwie.

Nakładem tej samej Głównej Księgarni Wojskowej okazała się niewielka, ale bogata w treść książeczka **K. Szyllera „Nurek"**, poświęcona zbliżeniu najszerszych warstw naszego społeczeństwa do morza i zapoznaniu ogółu z pracą w głębinach wód. Autor bardzo przystępnie i barwnie opisuje historję nurkowania, aparat nurkowy, obrazuje niebezpieczeństwa i zadania, jakie czekają nurka pod taflą oceanów. Broszura Szyllera jest pierwszą tego rodzaju lekturą popularną w języku polskim, a autorowi przyświecała piękna myśl: uczeni polscy organizują wyprawy polarne, w nieprzebyte puszcze, na niebotyczne szczyty; wkrótce dowiedzieć się możemy o zorganizowaniu polskiej wyprawy głęboko morskiej; niechże wówczas społeczeństwo nasze zna pracę naszych przedstawicieli na dnie morza.

(swb).

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 15 III.

10.05: Transmisja nabożeństwa z Poznania.
12.15: Poranek muzyczny z Krakowa.
14.00: „Dzień z życia Lwa Tołstoja".
14.20: Muzyka salonowa.
16.00: Łamigłówki dla dzieci.
16.15: Mozajka muzyczna.
17.05: 1000 taktów muzyki.
17.40: Krakowska nogawka regjonalna.
18.00: Koncert kameralny.
18.30: Klasyczny Teatr Wyobraźni — słuchowisko „Król Edyp".
20.00: Koncert solistów.
21.00: Na wesołej lwowskiej fali.
21.30: W murzyńskiem ghetto Rio de Janeiro — feljeton.
22.00: Muzyka salonowa.

Poniedziałek, 16 III.

12.25: Koncert Zespołu Haliny Adamskiej.
15.30: Muzyka salonowa.
16.15: Piosenki w wykonaniu Zofji Terné.
16.45: „Futro" — skecz według Katajewa.
17.00: Świat w lusterku — pogadanka.
17.20: Kwartet op. 65 na instrumenty dęte — Wasilenki.
18.00: Recital fortepianowy Lucyny Robowskiej.
18.30: Bajka o Śniegoniu Białonu — aud. dla dzieci.
20.00: Koncert Orkiestry i Zespołu Wokalnego K. P. W.
21.00: Wiązanka melodyj filmowych i rewjowych.
21.30: Znaczenie Kasprowicza — Wieczór literacki.
22.00: Koncert Symfoniczny.
23.05: Muzyka taneczna.

Wtorek, 17 III.

12.30: Koncert z udziałem solistów.
15.30: Muzyka operetkowa w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
17.15: Krajobrazy w muzyce.
18.00: Koncert muzyki jugosłowiańskiej.
18.30: „Ekscelencja-literat" — szkic literacki.
19.00: Zbiorowa audycja żołnierska — W dniu Imienin Generała Rydza-Śmigłego.
20.00: Humor Leona Śliżaka — monolog.
20.10: „Czar munduru" — operetka.
23.05: Muzyka taneczna.

Środa, 18 III.

12.15: Dziecko w wieku przedszkolnym — pogadanka.
12.30: Koncert Zespołu Tadeusza Seredyńskiego.
15.30: Muzyka lekka.
16.00: Rozmowa Majsterklepki z Lepigliną — aud. dla dzieci.
16.20: Recital wiolonczelowy Ewela Stegmana.
17.00: „O granicach tolerancji" — odczyt z cyklu „Dyskutujmy".
18.45: Po dylach i kładkach Polesia — odczyt.
19.00: **Przemówienie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Prof. Ignacego Mościckiego poświęcone Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu.**
19.15: Pieśń żołnierza Polski Niepodległej.
20.00: Muzyka salonowa.
21.00: XXVIII audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".
21.40: U naszych laureatów literackich 1935/36 roku — reportaż.
22.30: „Na swojską nutę" — koncert.

Czwartek, 19 III.

12.15: Poranek muzyczny dla młodzieży.
15.30: Zapomniane płyty.
16.00: Wspomnienia dzieci o Panu Marszałku.
16.15: Koncert Zespołu Niny Mańskiej.
17.00: Światło sodowe — odczyt z cyklu „Wielkie i drobne wynalazki".
17.15: Sonaty fortepianowe Mozarta.
18.00: Muzyka rozrywkowa.
19.45: **Przemówienie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Prof. Ignacego Mościckiego poświęcone Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu.**
21.00: „Imieniny Marszałka" — aud. literacko-muzyczna.
22.50: Muzyka lekka i taneczna.

Piątek, 20 III.

12.40: Utwory Faliksa Mendelssohna.
15.30: „Cytra i piosenki" — aud. muzyczna.
16.15: Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
16.45: Fragment z powieści „Posiew wolności" — aud. dla starszych dzieci.
17.20: Kwintet Es-Dur op. 16 — Beethovena.
18.00: Melodje operetkowe w wykonaniu Mary Gabryelli.
20.00: Koncert symfoniczny.
22.50: Spacer po Europie.

Sobota, 21 III.

12.35: Koncert orkiestry kameralnej.
14.30: Muzyka salonowa.
15.00: „U kowala" — epizod z powieści Grabińskiego.
15.30: Koncert Tria Salonowego.
16.15: Słuchowisko dla dzieci — „SO-HO-HO".
17.15: Nowości z płyt.
18.00: Utwory na skrzypce z towarzyszeniem fortepianu.
18.20: Arje i pieśni w wykonaniu Józefa Korolkiewicza.
20.00: Lekka audycja muzyczna ze Lwowa.
21.30: Wesoła Syrena — „Uprzejmy człowiek".
22.00: Koncert Symfoniczny.
23.05: Muzyka lekka i taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.